

Treść tomu 3.



SWIĘTOSZEK ZMYSLONY



AKT I.

SCENA I.

POBOZNICKA, PODSĘDKOWA, KUNEGUNDA, WINCENTY, PODSTOLI, ZOSIA.

POBOZNICKA.

Ach! zachoway Boże, żebym dłużey na te zgorſzenia patrzyć miała.

PODSĘDKOWA.

Wſzak nigdy winnego WmćPani Dobrodzice nieubliżamy uſzanowania, coż tak gorſzącego czyniemy?

POBOZNICKA.

O! aż nadto mnie, W Panine gorſzą poſtępki; alboż ſię to tak za moich czaſow pobożne y cnotliwe ſprawowały żony? uſtawicznie na zchadzkach, redutach, ſpacerach, y rozrywkach. A do Kościoła paſz, na Mſzą ledwo w Niedzielę, bo świąt iuż niema, nawet W Pani Godzinek, ani Rożańca codzień nie odmawiaſz, Przebog! co to za rozwiozłość!

ZOSIA.

Alboż to Artykuł Wia . . .

POBOZNICKA.

Ciſzey moia kochana Waści milczeć należy, a nie w każdy ſię wtrącać dyſkurs.

WINCENTY.

Ale Mościa Dobrodziko! czy to koniecznie...

POBOZNICKA.

Y z Waści wielkie ladaco, Bogoboyności żadney niemaſz, uciekaſz, kiedy zemną maſz iść do Kaplicy, albo na Stacye, iuż do Mſzy ſłużyć nie chceſz, znać ztąd, że człowiek będzieſz rozwiozły, y oyciec twoy żadney z ciebie pociechy mieć nie będzie.

KUNEGUNDA.

Zdaie mi ſię. . . .

POBOZNICKA.

Y ty ſię odzywaſz moia Panienko! powinnaś mieć więcey ſkromności, wcale to na ſtan, y

wiek twoy nie przyſtoi, abyś ſię z tą młodzieżą ſwywolną, ktora tu dzień y noc przeſiada, wdawała, o! iak ſię to teraz niewinną udaie, myślał by kto, że to Aniołek; ale znam ia ſię na tey zmyśloney ſkromności, te ciche wody naybardziey brzegi rwać zwykły.

PODSĘDKOWA.

Przecież Mościa Dobrodziko...

POBOZNICKA.

Wſtydź ſię moia Synowo, że tak złe przykłady ſwym dzieciom daieſz, twoy ſpoſob życia w cale mi ſię nie podoba, fortunę mężowi traciſz, oto ſię ſtroiſz iakby Xiężna iaka, o! ktora uczciwa żona mężowi ſwemu tylko ſię chce podobać, nie potrzebuie tyle ſtroiow, y zbytkow.

PODSTOLI.

Alboż to Mościa Dobrodziko...

POBOZNICKA.

Y W Pan ich utrzymuieſz Stronę? o wiem, wiem o ślicznych zdaniach Jego, nauczyłeś ſię iuż w Warſzawie tego wolnego, myślenia ſpoſobu, Moś Panie, gdybym była Szwagrem Wm Pana, weyścia bym mu do domu tego odmowiła; nie tayno mi iak zawiśnie z tym ſwywolnikiem (*pokazuie Wincentego*) Pana Obłudnickiego prześladuieſz, buntuiąc dom cały na niego.

WINCENTY.

Jakże ſzczęśliwy ten kochany Faworyt Wć

Pa-

Pani Dobrodziki; hoy! gdybym ia tak dobrze był położony w iey ſercu, pewniebyś mi dawno Wioſkę iaką wypuściła.

POBOZNICKA.

Bo też to człowiek arcy poczciwy, pobożny, y świątobliwy, y nigdy tego niezcierpię, żeby go taki młokos rozpuſtny, iak ty, miał prześladować.

WINCENTY.

Co! a ia mam cierpieć, żeby ten hołyſz obłudny, ktory niewiedzieć z kąd przyſzedł, tak tyrańſkiey nademną używał mocy? wſzyſtkie czynności moie, choć nayniewinnieyſze, krytykował; y oyca na mnie narażał?

ZOSIA.

To człek w cale nieznośny, podług prawideł ego wſzyſtko ieſt wyſtępkiem, bo ten Zelant gorliwy wſzyſtko gani, wſzyſtko nicuie.

POBOZNICKA.

On tylko życie waſze rozwiozłe gani, y chce was na drogę zbawienną naprowadzić. Moy ſyn wſzyſtkich ſrzodkow użyćby powinień, żebyście cnotę tego pobożnego człowieka naśladowali.

WINCENTY.

Nikt mnie na świecie do tego przymuſić nie potrafi; zdradziłbym ſerce moie, ktore ku temu obłudnikowi nieprzekonaną cierpi wſtrę-

tność; y boię się, żebym kiedy iakiey straszney, z nim nieuczynił historyi.

ZOSIA.

Cała Warszawa temu się dziwi, że ten golec, ktory tu w podartey przyszedł łachmanie, tak Jego Mością powodnie, y tyle z ukrzywdzieniem dzieci własnych od niego korzysta wszak Jegomość tak w nim zaufany, że mu Rząd samowładny domu całego y straż nawet żony y dzieci swoich powierzył.

POBOZNICKA.

Y coż z tąd? otoż to dowodem iego roztropności, bo gdyby się podług woli Pana Obłudnickiego wszystko działo, mnieyby daleko było nie porządku, swywoli y rozwiozłości w tym domu.

ZOSIA.

W Pani Dobrodzika masz go za Swiętego człowieka, a iabym przysięgła, że Pobożność iego na pozor, niby prawdziwa, iest tylko malowaną y obłudną.

POBOŻNICKA.

Ach! co to za ięzyk Swiętokradzki, a iabym życie dała, że to człowiek prawdziwie pobożny, wy go prześladuiecie iedynie dla tego, że wam prawdę mowi, waszę gani postępki, y za Boski się uymuie honor.

ZOSIA.

Alboż to uczciwe wizyty, honor Boski inte-

ressuią, a on strasznie przeciwko nim powstaie, niech tylko do Jeymości kto przyiedzie, zaraz będzie, ponurym y na krok z pokoiu nieustąpi, nie może to bydź inaczey koniecznie o Jeymć iest zazdrosny, dla tego ,tych wizyt cierpieć niemoże.

POBOZNICKA.

Ach! iakaż to złość ludzka! kiedy temu świątobliwemu, temu skromnemu człowiekowi nieprzepuszcza, wszak on zawsze w Bogu rozmyśla, ustawicznie się modli, y z taką żyie wstrzemięzliwością. iakże śmiesz tak niegodziwe, o nim mieć podeyrzenie? rozpusta, rozpusta wasza go obraża, o ktorey iuż wszędzie gadaią.

PODSTOLI.

Komuż nienawiść przepuści! niech gadaią, iak chcą, coż nam to szkodzi; bywam niemal codzień w tym domu, nic w nim iednak nieprzystoynego ani gorszącego nie widziałem; oprocz Obłudnickiego, ktorego cnota bardzo mi podeyrzana, a moc, ktorą ma naumyśle Szwagra mego, wszystkich zadziwia y gorszy.

POBOZNICKA.

Dawno ia wiem otym, że y WPan iego iesteś nieprzyiacielem, tak się to za zwyczay dzieie, że cnota, od złych y przewrotnych prześladowaną bywa.

ZOSIA.

Zobaczemy przecie skutek tey wielkiey cno-

ty, może ona w krotce z ukrzywdzeniem Pana Fanatyckiego wybuchnie ; bo mi się coś zdaie, że iego częste wzdychania, bardziey do serca Jeymości, niżeli do Nieba zmierzaią.

POBOZNICKA.

Już też dłużey tey niegodziwey mowy nie z cierpię chybabym niemiała sumnienia, gdybym ieszcze w tym przewrotnym została domu, Przebog! tak Swiętego człowieka śmią obmawiać! iakąż czarną potwarż na cnotę rzucaią! poydę, poydę, y nigdy iuż w tym przeklętym domu nogą moią niepostanę, ktoryby się iuż dawno zapadł, gdyby w nim, ten pobożny człowiek niezostawał. (*chce odchodzić.*)

ZOSIA.

Tak to nas W Pani Dobrodzika chcesz porzucić ? oddaiemy się tedy iey Swiętym modlitwom (*kłania się szydersko.*)

PODSĘDKOWA.

A Mościa Dobrodziko! nigdy na to niepozwolę, żebyś się z tąd wyniosła, w niebytności męża mego.

POBOZNICKA.

Ani godziny dłużey tu niechcę zabawić, kłaniam. (*odchodzi, Podsędkowa, Kunegunda y Wincenty ią odprowadzaią.*)



SCENA II.

PODSTOLI, ZOSIA.

PODSTOLI.

Niepoydę ia za nią, żebym ieſzcze bury nie oberwał.

ZOSIA.

Dobrze WmPan czyniſz, bo ktokolwiek na iey faworyta Obłudnickiego gada, iey wielkim ieſt nieprzyiacielem; zobaczyſz Wm Pan co tu za hałas będzie, kiedy nas przed Synem ſwoim Panem Fanatyckim oſkarży, bo on ſię tak w nim utopił, że dla miłości iego gotów świat przewrocić. Nazywa go Bratem ſwoim, Duſzą świętą, y tyſiąc razy bardziey go kocha, niż Matkę, Zonę, y Dzieci ſwoie, myśli iemu ſwe nayſkrytſze otwiera, uſtawicznie z nim ſię bawi, y kawałka chleba, bez iego nie zie błogoſławieńſtwa.

PODSTOLI.

Moy Szwagier widzę oſzalał.

ZOSIA.

Do poięcia trudno iak on ſię w nim zakochał, rozumi że Anioła ma w domu ſwoim, naymnieyſzą iego ſprawę ma za cud cnoty, a każde iego ſłowo ledwie nie więcey iak Ewangelią ſobie

bie waży. Podobnieſz Matka Pańſka Pani Pobożnicka dałaby ſię umęczyć za niego, y iak cudowny obraz go obaża, co tego oſzuſta tak w pychę wbiło, że wſzyſtkich za nic nie ma, y nadto ſobie pozwala. Onegdayſzego dnia ważył ſię Ieymci młodey krzyżyk złoty z ſzyi zedrzeć, mówiąc że to ieſt świętokradztwo, rzecz świętą na tym nieprzyſtoynym wieſzać mieyſcu, gdzie Diabli ſwoie zaſadzaią ſidła; nie dawno też iednego uczciwego człowieka ſtraſznie zbeſztał, y za to go nazwał heretykiem, że twierdził, iż w piekle ſmołą nie ſzynkuią.

SCENA III.

PODSĘDKOWA, WINCENTY, PODSTOLI, ZOSIA,

PODSĘDKOWA.

DOBREGOś ſię Wm Pan domyślił, żeś iey nie odprowadził, możeby ſię y Wm Panu co było doſtało; należycie nam uſzy za Obłudnickiego wytarła. Proſzę zabaw ſię Wm Pan tu trochę, ia tym czaſem poydę do ſiebie y poczekam tam na na męża mego, bo mi powiedziano że iuż ze wſi przyiachał. (*odchodzi*)

PODSTOLI.

Mam ia też intereſs z nim ſię widzenia, będę go tedy czekał.

WINCENTY.

Chcieyże mu Wm Pan także o zamęściu Siostry moiey wspomnieć, radbym w tey mierze myśl iego wiedział; bo mi się zdaie, że Obłudnicki iey postanowieniu iest przeciwny, przeto mocno się obawiam, aby Oyca mego do odmówienia iey Skarbnikiewiczowi nie nakłonił. Wm Panu Dobrodzieiowi nie tayno: że nas dawna przyiaźń y miłość siostry iego, ściśle łączy.

PODSTOLI.

Całym sercem; zechcę ia go wymiarkować, otoż też idzie, bo iego gorliwe wzdychania zdaleka słychać

SCENA IV.

FANATYCKI, PODSTOLI, ZOSIA, TREFNICKI,

FANATYCKI

O! Iak się masz Braciszku (*ściska Podstolego*)

PODSTOLI.

Witam Wm Pana z podroży, y mocno się cieszę, że go zdrowego oglądam; Ale coż Wm Pan u kata teraz na wsi robisz? milsze w tym czasie w mieście zabawy.

FANA-

FANAT:

Tym Swiatownisiom tylko zabawy y rozkoszy Ziemskie są w głowie, ia zaś o chwale Pana Boga myślę; Kościoł w Dobrach moich wystàwić przedsięwziąłem [*do Zosi*] Coż tu słychać nowego? cożcie tu podczas niebytności moiey robili? czy zdrowi wszyscy? iak się ma moy kochany Obłudnicki?

TREFNICKI.

Otoż się wprzod o niego, niż o żonę pyta.

ZOSIA.

Jeymść miała ongi frebrę, y straszny bol głowy.

FANAT.

A Pan Obłudnicki?

TREFN.

Ten go widzę bardziey interessuie.

PODSTOLI [*na boku*]

Ha! ha! ha! ha!

ZOSIA.

O! Pan Obłudnicki zdrow iak ryba, y dobrey iest cery.

FANAT.

Nieboraczek!

ZOSIA.

Ku wieczorowi Jeymść bardziey ieszcze zasłabiała, y dla tego nic na wieczerzą nie iadła.

FANAT.

A Pan Obłudnicki?

ZOSIA.

On tylko ſam iadł przy łożku Jeymościnym, y z wielkim nabożeńſtwem ziadł całego Kapłona, pułmiſek zrazow, y ciaſta talerz.

FANAT.

Nieboraczek!

PODSTOLI.

Ha, ha, ha, .. iakże go ſobie uiął ten oſzuſt.

ZOSIA.

Przez całą noc Jeymść miała gorączkę, dla ktorey ani oka zamrużyć nie mogła.

FANAT.

A Pan Obłudnicki?

ZOSIA.

Po kolacyi wypiwſzy cztery butelki piwa Wilanowſkiego, poſzedł do ſwego pokoiu, y ſpał ſobie wyśmienicie aż do dzieſiątey zrana.

FANAT.

Nieboraczek!

ZOSIA.

Nakoniec radziliśmy Jeymści krew puścić, poczym Jey ſię bol głowy znacznie umnieyſzył.

FANAT.

A Pan Obłudnicki?

ZOSIA,

Po Kawie ziadłſzy połmiſek bigoſu hultayſkiego z ſchabem y kiełbaſą, wypił wina ſtarego butelkę, życząc Jeymści krwi polepſzenia.

FANAT.

Nieboraczek!

ZOSIA.

Wſzyſcy tedy zdrowi, a zwłaſzcza Imć Pan Obłudnicki, oczko prawe Pańſkie, ktoremu poydę opowiedzieć troſkliwość, ktorą W. Pan Dobrodziey maſz o niego. [*odchodzi*]

PODSTOLI.

Ha! ha! ten Filut oczarować go muſiał.

FANAT.

Czego ſię W. Pan śmieieſz?

PODST.

Jakże u Diabła ſię nie śmiać?

FANAT.

Ach! Mospanie przynaymniey w moiey przytomności, złego Ducha niewſpominay; broń Boże, żeby to Pan Obłudnicki uſłyſzał.

TREFNICKI.

To u niego wielki grzech, wielkie zgorſzenie, y w gębe ſię biie, kiedy kto Diabła wſpomni, ale na Dzieci y ſłużących bezſumienia podſzczuwa.

PODST.

Prawdziwie moy Braciſzku, nie wiem co o tym mam ſądzić, na śmiech ſię W. Pan, y na ſzyderſtwo dla tego Obłudnickiego wydaieſz,

ten zmyślony nabożniczek opętać W. Pana muſiał, bo więcey daleko dbaſz o niego, niż o żonę y dzieci ſwoie.

FANAT.

Y W. Pan maſz czoło, tak złorzeczyć, o tym pobożnym Człowieku? co? co? on, zmyślony nabożniczek? on?

TREFNICKI.

Hoy! dałżeś ſobie teraz dał, to ieſt wyſtępkiem Swiętokradzkim, nigdy mu go nieodpuści.

PODSTOLI.

Ale prawdziwie, bo też tego iuż nadto, W. Pan go widzę maſz za Anioła.

FANAT.

Bo też to Anioł, nie człowiek, Ey Moſpanie gdybyś znał tego świątobliwego, tego cnotliwego człowieka, nieśmiałbyś tak mowić o nim. Jeſt to człowiek... ktory -- hoy to ieſt człowiek!.. ale taki człowiek -- ktory mi drogę do Nieba pokazuie, w cnotach mnie umacnia, odrywa mnie od Ziemſkich marności, y uczy mnie całym Swiatem pogardzać.. Y tak iuż z łaſki Pana Boga poſtąpiłem w tey doſkonałości za ſtaraniem iego, żebym na śmierć Brata, Dzieci, Matki, y Zony z wſzelką oboiętnością patrzał.

TREFNIC.

Jakimże go Barbarzyńcem nieludzkim obcowanie Obłudnickiego uczyniło.

PODSTOLI.

A zgadzaiąż ſię, moy Braciſzku takie czucia z ludzkością? wſzak to pierwſzym przymiotem y własnością człowieka, bydź czułym.

FANAT.

Swiatownisie tak tylko myślą; coż tu na świecie dobrego, same zgorszenia, bo cały Swiat z gruntu niecnotliwy.

TREFNICKI.

A Pan Obłudnicki sama cnota, sama poczciwość, o iuż dłużey tych baiow słuchać niemogę. [*odchodzi*]

FANAT.

Gdybyś go W. Pan tak dobrze znał, iak ia, niemogłbyś mu szacunku y przyiaźni swoiey odmowić; bo to sama świątobliwość y cnota z oczu mu patrzą. Na każdym odpuście bywa, do Kościoła codzień chodzi, na przeciwko mnie zawsze klęknie . . Oczy w Niebo z wielkim nabożeństwem podniesie . . iak z gorliwości westchnie, y w ziemię czołem uderzy, to mnie tak poruszy, że rzewnie płakać muszę . . Gdy zaś z Kościoła wychodzę, on mnie uprzedza, y wodą święconą nabożnie mnie kropi; słowem W. Panu mowię, że to iest przykład świątobliwości, nawet podarunkow wszystkich odemnie przyimować niechce; gdy mu dam kilka czerwonych złotych, powie mi, że to nazbyt y zaraz te pieniądze swemu człowiekowi daie dla ubogich. Prawdziwie, od tego czasu, gdy go cudem do Domu mego dostałém. Niebo mi oczywiście sprzyia, widzę że o mnie y o Zonę moię wielką ma troskliwość, dla honoru mego, bardzo go Zona moia interessuie, przestrzega mnie zawsze, kiedy kto u niey bywa, z domu mego wszystkich tych oddala, ktorzyby Jey się podobać mogli, y tysiąc razy więcey niż ia

w tym punkcie ma zazdrości, -- nigdybyś W. Pan nieuwierzył, iak delikatne zaś ma ſumnienie, naymnieyſzą bagatelę za grzech ſobie poczytuie, y z gorſzeniem ieſt dla niego; onegdayſzego dnia za to ſię bił w pierſi, że z gniewem nieiakim podczas Modlitwy pchłę zabił, ktora go ukąſiła . . hoy taki to z niego ſkrypulat.

PODSTOLI.

Zdaie mi ſię moy Braciſzku, żeś W. Pan w głowę zaſzedł, albo że ſobie drwiſz ze mnie, czy nieznać widocznie że on Oſzuſt?

FANAT.

Ah! boy ſię Boga, co gadaſz, widzę że niemaſz wiary, kiedy taką potwarz na tego pobożnego kładzieſz człowieka.

PODSTOLI.

Bodaybym ſkłamał, ale doznaſz W. P. wkrotce ſkutek iego mniemaney pobożności, bo dochodzę po wſzyſtkich czynnościach iego, że on filut, y że W. Pana fałſzywym pobożności pozorem omamił. Niechciey mnie ztąd ſądzić rozwiązłym, lub bez wiary, że takie o tym Szarlatanie nabożnym mam zdanie . . Wiem co mowię; y Niebo mym świadkiem, że ſię z prawdziwey nie ſzydzę pobożności, gdy utrzymuię, że on ieſt z liczby tych fałſzywych Nabożniczkow, tak, iak ci, co to wiele o ſwoim prawią męſtwie y waleczności, ſą z liczby fałſzywych Junakow; gdyż prawdziwie pobożni podobnych grymaſow czynić niezwykli . . Jakże? to tedy W. Pan żadney między pobożnością, y obłudą nieczyniſz rożności? chceſz ten ſam honor czynić Maſce, co y twarzy? rownie

ſzaco-

ſzacować pozor iak prawdę, ſzczerość iak podſtęp? nierozeznawać cienia od oſoby, y w rownym mieć ſzacunku prawdziwą y fałszywą monetą? naywiękſza część część ludzi ieſt oſobliwego myslenia ſpoſobu, y zawſze od prawdziwey odſtępuią natury, bo rozum ich w ſzczupłych będąc obarczony granicach, rzeczy nigdy w przyzwoitym niebiorą ſtopniu; W. Pan tego ieſteś gatunku, prożny blaſk za iſtną bierzeſz prawdę.

FANATYCKI.

Hoy! tak tak! W. Pan tylko ſam wſzyſtkie poiadłeś rozumy, wſzyſcy uczeni za nic, W.Pan tylko ſam mędrzec wielki, Filozof oſobliwy, a wſzyſcy inni względem W. Pana ſą proſtakami

PODSTOLI.

Niechcę ia wcale za Mędrca uchodzić, ale tyle przecie przyrodzonego mam oświecenia, że fałsz od prawdy poznać mogę. Wiem że niemaſz nic w świecie ſzacownieyſzego iak prawdziwa pobożność y niezmyślona gorliwość; przeciwnym zaś ſpoſobem nic bardziey w nienawiści y pogardzie u ludzi być nie powinno, nad obłudną świętobliwość, ktorą owi udaią Szarlatani, co pod Swiętoſzkow poſtawą, ſtraſzni y taiemni ſą łotrowie, z ſamych ſą złożeni nierządności, a powierzchowie tylko cnoty udaią pozory. Ci Obłudnicy naywiękſze świętokradztwa pobożnym grymaſem ukryć umieią; owi to Nabożniſie ſztukę zmyślenia doſkonale poſiaduią. Pobożność ieſt u nich kunſztem, Modlitwa handlem, a zmyślona cnota ich monetą, ktorą ſobie kredyt, ſławę, honor, y

fortunę kupuią. Takowi Ofzuści przez fame Bożkowanie farbowane, co niby proftą drogą do Nieba wiodącą, do naywyżfzey trafiaią powagi. W rozkofzy żyią, a nayniewinnieyfze ganią rozrywki, chodzą do Kościoła dla oka, a nayfzkaradnieyfze zbrodnie, świętobliwie, bo pod pozorem gorliwości popełniaią; ci nayzłośliwfi bez wiary, cnoty y obyczaiow ludzie, interefs fwoy z Bofkim fciśle łączyć umieią. Patrz W. Pan na tyle innych prawdziwie Cnotliwych, ich cnota nie ieft dziwaczna, świętobliwość nie dzika, pobożność ich nikomu wftretu, ani odrazy niefprawuie, przebaczaią ułomnościom ludzkim, nie fą oftrzy w napominaniu, nikogo nie potępiaią, podftępow, ani intryg Machiawelfkich na zgubienie często przyiaciela fwego nieczynią, nigdy ofoby, ale tylko wyftępek nienawidzą, y interefs Nieba więcey niż fwoy własny ważą. O! toż to ludzie takiego gatunku fą prawdziwie pobożni, prawdziwie cnotliwi, y ich przykłady godne naśladowania; ale W.Pana nayukochańfzy faworyt, nie ieft z tey liczby. Chwalifz moy Bracifzku iego gorliwość, ale to ieft tylko blafk fałfzywy, ktorym cię ten zdrayca omamił.

FANATY.

Moy Wielce Mfci Panie Szwagrze, czy iuż fkończyłeś fwoię perorę?

PODSTOLI.

Skończyłem.

FANAT.

[*Kłaniaiąc fię*] Nayniżfzy fługa Wac Pana chce odchodzić.

PODSTOLI.

Posłuchayże mnie ieszcze Panie Bracie, mam z W. Panem oczym inszym pogadać. Wiesz W. Pan żeś Skarbnikiewiczowi Corkę swoię obiecał!

FANATYCKI.

Tak iest.

PODST.

Jużeś W. Pan dzień wesela nawet był naznaczył.

FANAT.

Prawda.

PODST.

Czemuż tedy skutku przyrzeczenia W. Pana niewidzę?

FANAT.

Niewiem.

PODST.

Czy W. Pan insze masz przedsiewzięcie?

FANAT.

Może to bydź.

PODST.

W. Pan mu więc słowa dotrzymać niechcesz.

FANAT.

Ja tego niemówię.

PODST.

Zdaie mi się, że żadney niemasz przeszkody do wykonania obietnicy swoiey.

FANAT.

Jak się zdarzy.

PODSTOLI.

Ale czemuż mi W. Pan prosto nieodpowiadasz? nacoż te wybiegi? te słowa oboiętne? niech wiem myśl W. Pana, bo mnie w tym interessie Skarbnikiewicz Miłośnicki przysłał do W. Pana.

FANAT.

Bogu za to dzięki czynię.

PODSTOLI.

Coż mu tedy powiem?

FANAT.

Co się podoba.

PODST.

Ale niech przecie wiem zamysły W. Pana, coż W. Pan chcesz uczynić.

FANAT.

To, co Bog zechce.

PODST.

Ale mowmy po ludzku; Skarbnikiewicz ma słowo W. Pana, powiedz mi, czy mu go dotrzymasz, czy nie?

FANAT.

Kłaniam W. M. Panu.

PODST.

Jakiż to Maruda! iakiż to dziwak nabożny, źle tu widzę koło twoiey miłości Panie Skarbnikowiczu! muszę poyść przestrzec tego nieboraka [*odchodzi*]



AKT II.

SCENA I.

FANATYCKI, KUNEGUNDA.

FANATYCKI.

SŁuchay ieno moia Corko!

KUNEG.

Coż takiego moy Oycze!

FANAT. [*oglądaiąc się po Teatrze.*].

Przybliż się tu do mnie, mam ci coś powiedzieć?

KUNEGUNDA.

Czegoż to W. Pan Dobrodziey szukasz.

FANAT.

Patrzę ieżeli kogo niemasz, żeby nas niepodsłuchał. Moia Konusiu uważałem w tobie zawsze łagodność charakteru, y pobożność, co we mnie przywiązanie ku tobie pomnożyło.

KUNEG.

Ta uprzeymość Oycowska, wdzięczność moią ku W. Panu Dobrodzieiowi powiększyć powinna.

FANAT.

Niewątpię o tym moia Corko, y podchlebiam sobie, że się będziesz starała, uczynić się godną affektu mego.

KUNEG.

To będzie iedynym staraniem moim.

FANAT.

Dobrze! tak ſię należy. Powiedzże mi, coż też myśliſz o Panu Obłudnickim?

KUNEG.

Co? ia?

FANAT.

Tak ieſt - - uważay dobrze, co mi na to odpowieſz.

KUNEG.

Ach! Mści Dobrodzieiu, ia wſzyſtko powiem co tylko chceſz, żebym powiedziała.

[ZOSIA *wchodzi po cichu y podſłuchuie ich*]

FANAT,

Roſtropnie mowiſz - - Powiedz mi tedy moia Corko, że Pan Obłudnicki wielkie ma przymioty, że ieſt naycnotliwſzy y naypobożnieyſzy z ludzi, y żebyś ſię ſzczęśliwą ſądziła, gdyby za moim wyborem zoſtał twym mężem, . . . hę!

KUNEG. [*cofaiąc ſię z podziwienia*] Hę!

FANAT.

Coż to?

KUNEG.

Co W. Pan Dobrodziey?

FANAT.

Jakże tedy?

KUNEG.

Czym nierozumiała.

FANAT.

Jak! iak?

KUNEG.

Co mi W. Pan Dobr. każeſz mowić? kto mi ieſt naymilſzy? y kogo mi daſz za Męża?

FANAT.

Pana Obłudnickiego.

KUNEG.

Upewniam W. Pana Dobr. że mi ſię o tym nieśni, na coż ia mam tak brzydko ſkłamać? chyba W. MćPan Dobr: żartuieſz.

FANAT.

Owſzem chcę żeby to Prawdą było, wiedz o tym, żem ſię z nim iuż umowił.

KUNEG.

Jak to Mści Dobr:? mam że temu. . . .

FANAT.

Tak ieſt moia Corko, umyśliłem Pana Obłudnickiego przyiąć do moiey Familii, będzie twoim Mężem, iuż ma ſłowo odemnie . . . [*poſtrzeże raptem Zoſię.*]

SCENA II.

FANATYCKI, KUNEGUNDA, ZOSIA.

FANATYCKI.

A Waść tu poco, co to za ciekawość niepotrzebna, co za śmiałość mnie podſłuchiwać!

ZOSIA.

Niewiem prawdziwie iaki ieſt fundament tych wieści, y coby mogło dać przyczynę, że wſzędzie głośno o tym dzikim gadaią poſtanowieniu; a ia to mam za baykę.

FANAT.

A! coż tu w tym do w ary niepodobnego.

ZOSIA.

O! tak dalece że W. Panu ſamemu w tey mierze, wierzyć niepotrzeba.

FANAT.

Potrafię ia w to że wſzyſcy uwierzą.

ZOSIA.

Tak, tak, chyba W. Pan z nas drwiſz ſobie.

FANAT.

Wcale nie, y wkrotce tey prawdy ſkutek zobaczycie.

ZOSIA.

Bayki to, Bayki.

FANAT.

Prawdziwie moia Corko, co ci mowię, nie ieſt żartem.

ZOSIA.

O niewierz W. Panna, Jegomość tylko chce z W. Panny zażartować.

FANATYCKI [*żwawo*]

Ja ci powiadam że. . . .

ZOSIA

ZOSIA.

Zartuy W. Pan zdrow, upewniam, że w tym punkcie nikt W. Panu nieuwierzy, coż było u Diabła. . . .

FANAT.

Co! y Biesa wspominasz? chcesz mnie jeszcze do większego gniewu pobudzić? . . . mowię ci, że ia tak chcę, y tak. . . .

ZOSIA.

O kiedy tak, wierzę ia, wierzę. Piękne to bardzo zamysły, ktożby się spodział, żebyś W. M. Pan Dobr. ktory postawę rostropnego masz człowieka, podobne szaleństwo chciał uczynić.

FANAT.

Słuchay ieno moia Panienko świegotliwa, bardzo widzę wiele sobie pozwalasz, wiedz o tym moia kochana, że tego niezcierpię.

ZOSIA.

O! Mści Dobrodzieiu bez gniewu! proszę mnie posłuchać. Niewiem coby W. M. Panu do głowy przyszło, chciey tylko zważyć, ieżeli Pan Obłudnicki, iest przybraną dla Corki W. Pana partyą? także to W. Pan Dobr. Ją chcesz upodlić, wybieraiąc iey za męża, tego mizeraka, tego hołysza . . ktory. - -

FANAT.

Waści milczeć należy, rozumiesz Waść? ia tak chcę, y tak bydź musi.

ZOSIA.

Ale dla Boga, ani on Fortuny, ani honoru nie ma, wszak to. . . .

FANAT.

Jego cnoty y pobożność u wſzyſtkich mu ſzacunek y honor czynić powinny, wſzak on dobrowolnie w takim zoſtaie ſtanie, ponieważ przez przywiązanie do dobr Niebieſkich, ſwoie własne ſobie wydrzeć pozwolił; ale za moią pomocą weydzie znowu w ſwe dobra, ktore dla intereſſu Boſkiego w przeſzłych, rozruchach utracił. Upewniam że dobrey Familii, znać to zaraz.

ZOSIA.

Tak, on ſię tym chełpi, ale ta chluba z pokorą chrześciańſką wcale ſię niezgadza; prawdziwie pobożni, z urodzenia ſwego ſię nie wynoſzą, y żadney czynności na pochwałę ſwoią nieprzytaczaią, a on ſię ſzczyci że dla Boga wiele w pewnym połnocnym Kraiu cierpiał; gdzie ſię na koniec tak świątobliwością ſwoią wſławił, że Towarzyſze Jego w powinnościach go zaſtępuiąc przy ciepłym go zoſtawiali piecu, żeby ſię gorąco za nich modlił.

FANAT.

Zapewne że to Człowiek wcale święty, wſzak on na Ruſi pioruny w zimie ſprowadzał, y morowe powietrze uśmierzał.

ZOSIA.

Y W.Pan Dobrodziey tym baykom wierzyſz?

FANAT.

Wſzyſtko wierzę, bom dobry, y prawowierny katolik.

ZOSIA.

Zdaie mi ſię, że pochwały, ktore ſobie Pan Obłudnicki ſam daie, nie ſą artykułem wiary.

FANAT.

Jakaż to bezbożna kobieta? iakiż to język iaſzczurcy, zawſze muſi ſwą dziką wyiachać uwagą.

ZOSIA.

Więc tedy koniecznie W. Pana Dobrodzieia ma bydź Zięciem, nieuważaiąc na to, że Corkę ſwoią nieſzczęśliwą uczyniſz. On ponury y chodzi iak ſęp, a Panna Kunegunda weſoła, on zawſze łaie, a Corka W. Pana lubi pokoy, coż tedy z tego wyniknie związku nieſwornego, ieżeli nie kłotnie y nieſnaſki, bo te dwa rożne humory, nigdy ſię z ſobą niezgodzą. gdyż on dla ſwoiey żony będzie okrutnym, dzikim y nieznośnym, a zatym . . łecz już nieśmiem więcey o tym mowić . . ale W. Pan Dobrodziey wieſz, że wierność Małżeńſka, prędko ſię zachwieie, kiedy mąż dziwak, a żona raźna, to nieochybnie kornuctwem pachnie.

FANAT.

Oto lepiey milcz moia kochana, y Corki moiey niegorſz tak wolnemi wyrazami . . *do Corki* nie ſłuchay tey lekkomyślney kobiety, ia twoim Oycem, lepiey wiem, co dla ciebie dobrego. Wieſz tedy wolę moią, trzeba ią uſkutecznić; dałem wprawdzie ſłowo Panu Skarbnikiewiczowi Miłośnickiemu, ale mnie doſzły wieści, że on w karty grywa, a podobno y Libertyn, bo go w Kościele niewiduię.

ZOSIA.

Czy W. Pan Dobrodziey chceſz, żeby koniecznie w Kościele był o tey godzinie, o ktorey ci bywaią, co tylko dla oka tam chodzą.

EANAT.

Ale ia nie do Waści gadam (*do Corki*) To małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe, on ściągnie na ciebie błogosławieństwo Nieba, na niczym ci zbywać nie będzie, kochaiąc się iak dzieci niewinne, albo iak para Synogarliczek, nigdy się tobie sprzeciwiać nie będzie, y wszystko z niego zrobisz, co tylko będziesz chciała.

ZOSIA.

Hoy tak zrobi z niego dutka, ręczę za to, z oczu mu to patrzy.

FANAT.

Co to za mowa?

ZOSIA.

Ja mowię Mści Dobr: że iego czoło na rożne przeznaczone przypadki; y że w krotce . . .

FANAT.

Proszę cię nieprzeryway że mi, co to za ięzyk niewstrzymały! zawsze się musi wrazić.

ZOSIA.

Jedynie to dla interessu W. Pana Dobr: czynię (*przerywa mu zawsze, gdy się obraca chcąc mowić z Corką*)

FANAT.

Nie trzeba się w ten interess wdawać nikomu.

ZOSIA.

Chybabym W. Pana Dobrodzieia wcale nie kochała.

FANAT. (*żywo.*)

Ja niechcę, żeby mnie kochano.

ZOSIA.

A ia W. Dobr: mimo woli iego kochać będę.

FANAT.

Ach co to! . .

ZOSIA.

Honor W. Pana Dobr: nad to mi ieſt miły, y nigdy tego niezcierpię, żeby W. Pana palcem wſzędzie ſkazywano.

FANAT.

Jakże! nie będzieſz ty milczała?

ZOSIA.

Chybabym ſumnienia nie miała, gdybym W. Panu Dobr: tego haniebnego Małżeńſtwa nieodradzała.

FANAT.

Nie będzieſz ty milczała iaſzczurko iadowita?

ZOSIA.

Ach! dla Boga W. Pan Dobr: nabożniczek, a tak ſię gniewaſz.

FANAT.

Tak ieſt, ſłuſznie ſię gniewam, na niewſtrzymałą świegotliwość twoią, będzieſz ty milczała, albo nie?

ZOSIA.

No! no! dobrze, dobrze iuż milczę, ale gdybyś W. Pan Dobrodziey wiedział, co ia myślę!

FANAT.

Myśl ſobie co chceſz, ale nie waż mi ſię wtrącać do tego intereſſu . . bo zobaczyſz, że tu co

oberwieſz . . . [*obrociwſzy ſię do Corki.*] Ja rozumnie wſzyſtkie rzeczy biorę, wiem że. . .

ZOSIA.

Ledwie nie ſzaleię, że mówić nie mogę [*zaraz zamilknie, gdy Fanatycki na nią ſpoyrzy*]

FANAT.

Pan Obłudnicki chociaż nie ieſt gaſzkiem takim, iakich wy kobiety światowe lubicie, ieſt iednak z niego człowiek przyſtoyny . . . można . . .

ZOSIA.

Oy! tak przyſtoyny z niego koczkodon!

FANAT.

Lubo iego przymioty ſerca twego ieſzcze nieuięły, iednak pewien ieſtem, że go potym ſerdecznie kochać będzieſz, gdy go lepiey poznaſz, zobaczyſz że cię wcale na inſzą przerobi.

ZOSIA,

O! wierzę ia temu! iakież to dzikie uwagi! . . . hoy gdybym ia była na mieyſcu Panny, wnetbym pokazała, co to ieſt powolnie iść w Małżeńſtwo; ieſzcze w wilią ślubu zemſciłabym ſię na czole Pana Obłudnickiego.

FANAT. [*złożywſzy ręce patrzy Zoſi w oczy.*]

Słuchay ieno moia kochana! pokiż tego będzie? nie zcierpię ci dłużey.

ZOSIA.

Coż W. Pan Dobr: chceſz odemnie, wſzak ia do W. Pana nie gadam.

FANAT.

Tylko co robiſz?

ZOSIA.

Sama do ſiebie gadam.

FANAT:

Jak mi Bog miły, pięścią iey gębę zatkam, [*ſtanie iakoby iey chciał dać policzek, a za każdym ſłowem ktore wymowi do Corki ogląda ſię na Zoſię w tyle ſtoiącą*] Moia Corko powinnaś mi w tey mierze bydź poſłuſzną . . wierz mi . . że Małżonek . . ktoregom ci wybrał . . / [*do Zoſi*] czemuż do ſiebie nie gadaſz?

ZOSIA.

Nie mam ſobie nic do mowienia.

FANAT.

Aby ſłowko ieſzcze.

ZOSIA.

Jak ſobie tam chce, iuż ſię nie wdaię do tego.

FANAT.

Jużbym ią też był trzaſnął.

ZOSIA.

Jednak mi ſię ten wybor wcale nie podoba.

FANAT.

Czy ieſzcze? na końcu moia Corko . .

ZOSIA.

Ot ſtoi iak Figurka, y ſłowa mu nie odpowie.

FANAT.

Trzeba być poſłuſzną, y woli moiey zadoſyć uczynić.

ZOSIA [*ſtanąwſzy za niemi.*
Jabym drwiła z tego, y nigdybym za takiego hołyſza nie poſzła, [*ucieka.*

FANAT. [*chce ią uderzyć, ale ią chybi y za nią pobieży.*
Moia Corko, ta dziewczyna ieſt gorſza od Jędzy piekielney, ia iey dłużey w domu moim cierpieć niechcę. Co ona mi krwi ſwoią ſwiegotliwością napſuła . . . Zważ tedy moia Kunuſiu, com ci przełożył, y wierz, że iedynie twego ſzukam ſzczęścia, łącząc cię z cnotliwym Obłudnickim. [*odchodzi*)

SCENA III.

ZOSIA KUNEGUNDA.

ZOSIA.

CZY W. Panna zaniemiała, czy co u Diabła! mam że ia W. Pannę w tym zaſtępować intereſſie? ieżeli też to ſłyſzana rzecz, na tak dzikie milczeć propozycye,

KUNEGUNDA.
Coż mam przeciwko tak ſamowładnemu czynić Oycu?

ZOSIA,
To, co ſię w podobnym razie czynić powinno.

KUNEG-

KUNEG.

Coż takiego?

ZOSIA.

Na przykład mogłaś W. Panna Jegomości powiedzieć, że ſerce dla ſiebie tylko kocha, że W. Panna nie dla Oyca, ale dla ſiebie za mąż idzieſz, a zatym że tylko takiego dla ſiebie powinnaś obierać Małżonka, ktory ſię W. Pannie podoba; a ieżeli ſię Jegomość tak bardzo w Panu Obłudnickim zakochał, niechże ſię tedy z nim żeni.

KUNEG.

Łatwo ci tak mowić! ale gdybyś na moim była mieyſcu, pewniebyś ſię nie ważyła Oycu, ani ſłowa odpowiedzieć.

ZOSIA.

Ale pomówmy ieno z ſobą otwarcie; Pan Skarbnikiewicz Miłośnicki ſtarał ſię o W. Pannę, y ſtatecznie ią kocha, chcieyże mi też W. Panna ſzczerze powiedzieć, czy go kochaſz wzaiemnie?

KUNEG.

Jakżeś nieſprawiedliwa moia Zoſiu; czy możeſz mi takie czynić pytanie? wſzak znaſz dawno uczucia ſerca moiego, wieſz iak żywa ieſt uprzeymość, ktorą mam ku niemu.

ZOSIA.

Miałam to dotąd za uprzedzenie trefunkowe, ale teraz widzę, że ſerce W. Panny, przez iey uſta mowi.

KUNEG.

Krzywdę byś mi czyniła moia Zoſiu, gdybyś

o mym ſzczerym ku Skarbnikiewiczowi wątpiła przywiązaniu.

ZOSIA.

Więc go W. Panna kochaſz?

KUNEG.

Ach . . y ſerdecznie.

ZOSIA.

Zdaie mi ſię że y on W. Pannę kocha podobnież.

KUNEG.

Tak mniemam.

ZOSIA.

Y oboie W. Pańſtwo pragniecie złączyć ſię z ſobą?

KUNEG.

Pewnie że! . ..

ZOSIA.

Coż tedy W. Panna ſądziſz, o tym nowym związku . . to ieſt z Panem Obłudnickim.

KUNEG.

Jeźli mnie do tego przymuſzać będą, śmierć ſobie zadam z roſpaczy.

ZOSIA.

A . . to głownie! prawdziwie to będzie nayſkutecznieyſzy śrżodek, do uniknienia nieſzczęśliwego loſu ſwego. A niemogłabym ia też W. Pannie dopomodz do wykonania tego przedſiewzięcia? na taką mowę śmiać mi ſię chce.

KUNEG.

Jakimże to ſpoſobem śmieſz do mnie mowić? nie maſz widzę politowania nad nieſzczęściem ludzkim.

ZOSIA.

Bo też W. Panna wcale niedbaſz o ſiebie; kiedy potrzeba, gęby nieotworzyſz, a teraz roſpaczaſz.

KUNEG.

Ale coż ia mam czynić, kiedy ia moiey boiaźliwości przekonać nie mogę.

ZOSIA.

Miłość W. Pannę odważną czynić powinna; oświadczyć ſię Oycu potrzeba, że Obłudnickiego niechceſz, y że iey ſerce Pan Skarbnikiewicz uiąć potrafił.

KUNEG.

Ach! czy mogęż ſię tak śmiało ſtawić, tak ſurowemu Oycu.

ZOSIA.

W. Panna widzę chceſz, żeby kto inny za nią gadał,

KUNEG.

CzemużPan Skarbnikiewicz nie . . .

ZOSIA.

Do W. Panny to ſamey należy; kochanek iey tyle na umyśle Oyca W. Panny nie przemoże, doſyć z iego ſtrony, że W. Pannę kocha ſtatecznie.

KUNEG.

Ale czy to płci moiey przyſtoi, żebym ſię

przed wſzyſtkiemi z tym oświadczyła, co w mym ſercu czuię.

ZOSIA.

Nie trzeba, nie, poco? o! iuż widzę, że W. Panna chceſz bydź Panią Obłudnicką. . . Dobrze W. Panna czyniſz, to partya wcale przybrana, nie maſz nic przeciwko temu . . . Pan Obłudnicki ieſt to człowiek zacny . , co to za ſzczęście dla W. Panny będzie, iego bydź żoną, wſzyſcy go poważaią, dobrego urodzenia, chłopiec ładny, ach! iak że W. Panna z Mężem takim ſzczęśliwą będzieſz!

KUNEG.

O! moy Boże!

ZOSIA.

Jakież to dla W. Panny będzie ukontentowanie, gdy żoną tak grzecznego zoſtanieſz człowieka.

KUNEG.

Ach! przeſtań że mnie prześladować moia Zoſiu, maſz że ſumnienie naśmiewać ſię z troſkliwości moiey? lepiey mi oto poradź, iak temu zamęściu przeſzkodzić . . wſzyſtkom iuż czynić gotowa.

ZOSIA.

Nie, nie, Córka powinna bydź Oycu poſłuſzna, chociaż by iey Niedzwiedzia dawał za Męża.

KUNEG.

Ach! zabiiaſz mnie twemi niewczeſnemi żartami. . . Radź mi co mam począć, aby tę burzę odwrocić odemnie.

ZOSIA.

Nayniżſza ſługa W. Panny.

KUNEG.

Ach! zmiłuy ſię moia Zoſiu kochana.

ZOSIA.

Zadney ſię W. Panna odemnie nie ſpodziewały rady, pocoż W. Panna przed Jegomością ſtała iak niema ſtatua? cierp teraz, cierp. . .

KUNEG.

Moia Zoſieńku naymilſza;

ZOSIA.

Nie, nie,

KUNEG.

Poydę, powiem, . . choć bym . . .

ZOSIA.

Gdzie zaś, wſzak Pan Obłudnicki iuż ieſt Oblubieńcem W. Panny.

KUNEG.

Toć mnie znaſz z dzieciństwa mego, wſzyſtkiego ci ſię zwierzam, uczyńże moia Zoſiu!

ZOSIA.

Nic z tego! W. Panna dali Bog Panią Obłudnicką będzieſz.

KUNEG. [*tonem rozpaczaiącym*]

Dobrze, więc . . ponieważ cię moy los okropny zmiękczyć nie może, niech tedy łupem zoſtanę rozpaczy, ta naypewnieyſzym nieſzczęśliwości moiey będzie lekarſtwem [*odchodzi prędko*]

ZOSIA. [*chwyta ią*]

Hey! hey! Mościa Dobrodziko, wroć ſię W. Panna, wroć; muſzę ſię iednak nad W. Panną zlitować.

KUNEG.

Bądź pewna, że ſobie śmierć zadam nieochybnie, ieżeli mnie Oyciec gwałtem na to okrutne wyda męczeńſtwo.

ZOSIA.

Niefraſuy ſię W. Panna, alboż iaki znaydziemy ſpoſob zapobieżenia temu .. ale otoż legmć Pan Skarbnikiewicz Lubownik W. Panny.

SCENA IV.

SKARBNIKIEWICZ, KUNEGUNDA ZOSIA.

SKARBNIKIEWICZ.

PIękney ſię bardzo dowiedziałem nowiny; przyſzedłem tu umyślnie, żebym ſię o niey upewnił.

KUNEGUNDA.

Coż to za nowina?

SKARBNI.

Że W. Panna maſz poyść za Obłudnickiego.

KUNEG.

To pewna, że te ſą zamyſły Oyca mego.

SKAKB.

Co Oyciec W. Panny Dobrodziki?

KUNEG.

Dopiero mi myśl ſwoią oświadczył.

SKARB.

Jakże? czy to doprawdy?

KUNEG.

Tak ieſt, koniecznie chce, żeby to małżeńſtwo przyſzło do ſkutku.

SKARB.

A iakaż też ieſt myśl W. Panny Dobr: w tey mierze?

KUNEG. [*zaſtanawiaiąc ſię trochę.*]

Ja niewiem.

SKARB.

A to przedziwna odpowiedź . . nie wieſz W. Panna Dobrodzika?

KUNEG.

Nie!

SKARB.

Nie?

KUNEG.

Jakże mi W. Pan radziſz?

SKARB.

Ja radzę W. Pannie Dobr: . . poyść za tego Jegomości.

KUNEG.

Tak mi W. Pan radziſz?

SKARB.

Tak.

KUNEG.

Z-doprawdy W. Pan mowiſz?

SKARB.

Bez wątpienia . . ten wybor ieſt wyśmienitym, trzymać go ſię należy.

KUNEG.

Bardzo dobrze . . przyimuię tę radę W.Pana.

SKARB.

Zdaie mi ſię że nie wiele będzie koſztowało ſercu W. Panny, tę radę wykonać.

KUNEG.

Tyle, ile W. Panu, mnie ią daiąc.

SKARB.

Jam ią dał, dla przypodobania ſię W. Pannie Dobr.

KUNEG.

A ia ią wykonam, dla ukontentowania W.Pana.

ZOSIA.

Ciekawam, co to z tego wyniknie.

SKARB.

Poznałem ſię tedy na ſercu W. Panny, żeś mnie oſzukiwała, kiedyś mi nayżywſze. . . .

KUNEG.

Proſzę iuż o tym nie mowić . . W. Pan mi *ſerio* radziłeś iść za tego, ktorego mi Oyciec przeznacza za męża. . . Ja ſię też oświadczam,

że

że tak uczynię, ponieważ mi W. Pan tak zbawienną dałeś radę. . .

SKARB.

Nie fkładay fię W, Panna radą moią, iużeś dawniey była tego przedfiewzięcia, bierzefz to tylko za pretext, na zaflonę wiarołomftwa fwego.

KUNEG.

Prawda, tak, tak, dobrze W. Pan mówifz.

SKARB.

Zapewne . . . bo ferce W. Panny nigdy ku mnie nie czuło przychylności.

KUNEG.

Wolno W. Panu fądzić iak fię podoba.

SKARB.

Pewnie że mi wolno; bo fłuszną mam do tego przyczynę . . . ale wiedz W. Panna o tym, że miłość moia tak tkliwie obrażona, potrafi iey poprzedzić życzenia . . . wiem iuż, gdzie ferce y rękę moią mam obrocić.

KUNEG.

O! niewątpię o tym . . przymioty W. M. Pana wfzędzie fobie ziednać potrafią, . .

SKARB.

Nie wfpominay W.Panna przymiotow moich, bardzo ich mam mało, o czym mnie odmiana W. Panny aż nadto przeświadcza, ale śmiem fobie podchlebiać, że fię gdzie indziey lepiey na mnie poznaią, y zgubę ferca W. Panny fowicie mi nadgrodzą.

KUNEG.

O! niewielka to dla W.Pana zguba! łatwo ią ſobie z głowy wybić potrafiſz.

SKARB.

Upewniam że ſię oto uſilnie ſtarać będę, bo to intereſſuie moy honor, y nieprzepuſzczoną bym popełnił podłość, gdybym dłużey miłość ku tey zachował oſobie, ktora tak prędko ſerce ſwoie odmienić mogła.

KUNEG.

Prawdziwie . . wielkie W. Pan maſz zdania.

SKARB.

Jeſtem pewien, że u każdego znaydą potwierdzenie; pewnie W. Panna chceſz, żebym zawſze w iey chodził więzach, y z oboiętnością w innych ią widział ręku? czy możeſz to po mnie wyciągać, żebym gdzie indziey nie obrocił tego ſerca, którym tak otwarcie pogardzaſz.

KUNEG.

Y owſzem tego ſobie życzę, y radabym była żeby ſię to iuż dawniey ſtało.

SKARB.

Co? radabyś była?

KUNEG.

Tak ieſt.

SKARB.

Ach! iuż też tey pogardy znieść nie mogę, poydę w tym momencie iey chęciom zadoſyć uczynić [*czyni-kilka krokow do wyiścia, y znowu ſię wraca.*]

KUNEG

Bardzo dobrze.

SKARB.

Pamiętay W. Panna przynaymniey, że ſama tylko ieſteś przyczyną, że ſię na to oſtatnie odważam przedſiewzięcie.

KUNEG.

Dobrze, dobrze.

SKARB.

Y że iedynie za iey przykładem te przed ſię biorę zamyſły.

KUNEG.

Za moim przykładem? . . niech y tak będzie.

SKAKB.

Ach! kiedy tak . . dogodzę ia natych miaſt iey życzeniom.

KUNEG.

Tym lepiey.

SKARB.

Oſtatni raz mnie W. Panna widziſz . . iuż mię nigdy więcey niezobaczyſz.

KUNEG.

Nieumrę ia od żalu, ani nawet ſobie żałoby po W. Panu nieſprawię.

SKARB.

Hę . . [*odchodzi y wraca ſię od drzwi*]

KUNEG.

Coż?

SKARB.

Nie wołaſz mnie W. Panna?

KUNEG.

Ja zaś? chyba ſię W. Panu tak przywidziało.

SKARB.

Więc tedy poydę na zawſze, upadam do nożek moiey Pani [*wychodzi po mału y ogląda ſię*]

KUNEG.

Uniżona ſługa W. Pana.

ZOSIA.

A pokiż te ſpory trwać będą? ci amanci często, widzę, waryacyą cierpią, ſami nie wiedzą co plotą [*bieżąc za Skarbnikiewiczem*] Hey Mos Panie Skarbnikiewiczu wroć ſię W. M. Pan [*bierze go za rękę.*]

SKARB. [*niby niechce.*

Czegoż ty chceſz moia Zoſiu?

ZOSIA.

Podź ieno tu W. Pan.

SKARB.

Nie, nie, nieciągniy mnie darmo, niech to uczynię, co ona pragnie.

ZOSIA.

Zatrzymay ſię W. Pan.

SKARB.

To bydź nie może, koniecznie poyść muſzę.

ZOSIA.

Ey zoſtań ſię W. Pan.

KUNEG.

Widzę że mu przytomność moia ieſt nieznośna, lepiey więc uczynię, gdy mu ztąd uſtąpię, [*odchodzi*]

ZOSIA. [*porzuca Skarbnikiewicza y zabiega Kunegundzie*]

Coż to znowu? a W. Panna dokąd?

KUNEG.

Y! puść mnie. . . . .

ZOSIA.

O! nie . . trzeba ſię wrocić.

KUNEG.

Nie, nie, moia Zoſiu, proſzę nie zatrzymuy mię prożno.

SKARB. [*na boku*]

Widzę że mnie iuż cierpieć nie może . . . z oczu iey poyść muſzę, [*odchodzi*]

ZOSIA [*bieżąc znowu za Skarbnikiewiczem*]

Jeſzcze W. Pan dziwaczyſz? podobno Wac Państwo z ſobą w zaiączka gracie . . porzućcie proſzę te bałamuctwo, a wrućcie ſię tu oboie [*bierze oboie za ręce y prowadzi ich na brzeg Teatru.*]

SKARB.

Ale coż ty chceſz czynić?

KUNEG.

Na coż to? coż ty przez to zamyślaſz?

ZOSIA.

Oto ſię chcę nad W. Państwem zmiłować y pogodzić ich znowu; bo dali Bog ſami ſwego dziwactwa nieznacie.

SKARB.

Alboż to ty nie ſłyſzała, z iaką pogardą do mnie mówiła.

ZOSIA.

Ale iakież W. Panna u diabła chimery ſtroiſz,

KUNEG.

Czyś nie widziała, iak ſobie ze mną poſtępował?

ZOSIA.

Oboie W. Państwo trochę waryacyi cierpicie . . . [*do Skarbnikiewicza*] Upewniam, że Jeymść nie ma innego zamiaru, iak tylko W. Panu na zawſze bydź ſtateczną [*do Kunegundy*] Jegomść nic bardziey nie żąda, iak bydź mężem W. Panny . . ręczę za to.

KUNEG.

A na coż mi W. Pan taką dawał radę?

SKARB.

A na coż W. Panna w tey mierze rady odemnie zaſięgała?

ZOSIA.

Otoście W. Państwo oboie iak dzieci . . . . daycie ſobie ręce . . [*do Skarbnikowicza*] W. Pan wprzód.

SKARB. [*daiąc rękę Zoſi.*]

Na coż ci moia ręka?

ZOSIA. [*do Kunegundy*]

Day też ieno W. Panna ſwoią piękną rączkę.

KUNEGUNDA.

Y coż z tego będzie?

ZOSIA.

No ieno . . prędzey . . pogodzcie mi ſię zaraz, dałabym ſzyię ſwoię, że ſię oboie martwicie, żeście ſię pogniewali; bo ſię daleko bardziey kochacie, niżeliście o tym wiedzieli [*Zoſia gdy to mowi, ſtoi za niemi trzymaiąc ich za ręce, potym uſtępuie na bok*]

SKARB. [*Niepatrząc nie iaki czas na Kunegundę*]

Niechciey W. Panna ſobie dłużey gwałtu czynić, a weyzrzey na mnie bez gniewu.

ZOSIA.

Prawdziwie ci Lubownicy, tak ſobie czaſem poſtępuią, iak by nie w ſerce, ale w głowę poſtrzeleni byli.

SKARB.

A coż? niemam że ia przyczyny żalenia ſię na W. Pnnę? . . co za złość? . . takie mi mowić rzeczy, ktore mnie nieznośnie martwiły.

KUNEG.

Co W. Pan mi ieſzcze śmieſz czynić zarzuty, pokazawſzy mi ſię takim niewdzięcznikiem?

ZOSIA.

No! no! doſyć tego, potym ſobie wyrzucaycie, a teraz myślmy, iak ułożone Oyca W. Panny obalić zamyſły.

KUNEG.

Roſtropnie mowiſz moia Zoſiu, ale co w tey mierze czynić?

ZOSIA.

Rożnych wybiegow użyć nam potrzeba, naprzod będzieſz W. Panna udawała, że niby na to poſtanowienie zezwalaſz, żeby tym ſpoſobem iak naydłużey weſele zwlec można, gdy zaś W. Pannę Jegomość gwałtownie przyciśnie, trzeba iaką nagłą zmyśleć chorobę, naprzykład ſpasmy, albo modne wapory; będzieſz mnie biła, krzyczała, pobieżyſz do gotowalni, y źwierciadło o ziemię rzuciſz, lub inne temu podobne głupſtwa uczyniſz, wſzak płci naſzey na zmyślności niezbywa, a nadewſzyſtko niewiduycie ſię W. Państwo tak częſto z ſobą [*do Skarbnikowicza*] Idź W. Pan teraz y użyi przyiacioł ſwoich, żeby mu w tym intereſſie dopomagali [*do Kunegundy*] My zaś poydziemy uwiadomić o zamyſłach naſzych Braciſzka W. Panny, żeby nam także dopomagał.

SKARB.

Lubo to ułożenie dobrym mi ſię bydź zdaie, iednak naywiękſzą nadzieię w W. Pannie pokładam.

KUNEG.

Nie mogę za Oyca mego ręczyć, ale ręczę, że nie będę ni czyią Zoną tylko W. Pana.

SKARB. [*żywo iey rękę całuie*]

Ach! iakiem ſzczęśliwy, y wſzyſtko na świecie. . . .

ZOSIA.

ZOSIA.

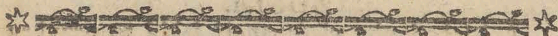
Ach! bodayby ci Amanci! iakiż to przykry rodzay ludzi, nigdy się dosyć nagadać nie mogą . . idź W. Pan mowię . . nuże prędzey.

SKARB. [*czyni parę krokow y wraca się*] Niechże ieszcze. . . .

ZOSIA.

Jakiż nienasycony człowiek . . Idź W. Pan w iednę a W. Panna w drugą stronę [*rozpycha ich, Skarbnikiewicz się wraca do Kunegundy po trzy razy, Zosia go odpychaiąc mowi*] Jeszcze? kiedyż się u Diabła z sobą nasmokczecie. no, no, czekaycie ieno moi Lubownicy, zobaczę, ieżeli w tydzień po ślubie tyle upału miłośnego ku sobie czuć będziecie.





AKT III.

SCENA I.

ZOSIA, WINCENTY, TREFNICKI,

WINCENTY.

NIECH mnie piorun trzaśnie, ieżeli iakiey okropney historyi w Domu nieuczynię, w łeb strzelę temu Urwisowi.

ZOSIA,

Sprawiedliwy iest gniew W. Pana; iednak go miarkować potrzeba, Jegomość nie iedne ułożenie odmienił, może y te odmienić; zostawmy to czasowi, on zamysły iego zapewne obali. . . .

WINCENTY.

Ach iuż mi cierpliwości niestaie . . ieżeli tego trutnia spotkam, uszy mu obetnę.

TREFNICKI.

A Diablisz W. Panu po iego uszach!

ZOSIA.

Niebądź W. Pan taki gorączka. owszem radzę mu, abyś w tey mierze wszelką zachował oboiętność, Jeymć ten interess naylepiey wykieruie. Bardzo ma wiele mocy na umyśle O-

błudnickiego, chce więc z nim pomowić, y odkryć w tym punkcie zdanie iego, kazała tym końcem mu powiedzieć, że ſię chce z nim widzieć; zaczym W. M. Pan ztąd wynidź, bo tu ſama na niego czekać będę.

WINCENTY.

Alboż ia przy tey rozmowie bydź niemogę?

ZOSIA.

O nie, ſami tu tylko będą.

TREFNICKI.

Co ia, to zdaleka będę ſię przyſłuchiwał.

WINCENTY.

Ale ia mu ani ſłowka nie powiem.

ZOSIA.

O! ho! ho! W. Pan paſſyonat niewytrzymałbyś mu . . y cały byś może zepſuł intereſs . . wyidzcie . . wyidzcie obadway [*wypycha ich*]

TREFNICKI.

Nie wytrzymam, będę ich podſłuchiwał [*idą obydwa do Gabinetu*]

ZOSIA.

Nuże ſchrońcie ſię: bo iuż nadchodzi ta duſza pobożna.



SCENA II.

OBŁUDNICKI, ZOSIA.

OBŁUDNICKI [*mowi do ſwego lokaia za drzwiami będacego*]

LORENTZ! . . ſchoway moy paſek żelazny y dyſcyplinę, a proś Boga, żeby cię od pokus bronił; ieżeliby ſię zaś kto ze mną chciał widzieć, powieſz, żem poſzedł więzniom iałmużnę rozdawać.

ZOSIA.

Jakże ſię chełpi ten potwarca przeklęty . . .

OBŁUD.

Czegoż to chceſz moia Panno?

ZOSIA.

Mam W, Panu powie. . . .

OBŁUD.

Ach! moy Boże . . nim do mnie mowić zaczznieſz, proſzę cię, weź tę chuſtkę [*dobywa chuſtki z kieſzeni*]

ZOSIA.

A to na co?

OBŁUD.

Zakryi nią pierſi ſwoie , patrzyć na nie nie mogę, bo przez takowe widoki ranią ſię duſze, y myśli ſię rodzą nieprzyſtoyne.

ZOSIA.

Bardzo widzę W. Pan łatwy do pokuſy, znać

że ciało wiele w zmysłach iego czyni impresſyi, co ia to dali Bog tak prędka do pokus nie ieſtem, y choćbym W. Pana od głowy do ſtop, naguteńkiego widziała, upewniam, żebym naymnieyſzey do ſkóry iego nie miała pokuſy.

OBŁUD.

Albo ſkromniey mów moia Panno, albo ztąd zaraz poydę.

ZOSIA.

O! niechodź W. Pan proſzę, owſzem ia ztąd wynidę, tylko mu powiem, że tu Jeymść zaraz nadeydzie dla rozmowienia ſię z W. Panem.

OBŁUD. [*z radością*]

O! chętnie bardzo.

ZOSIA [*na ſtronie*]

Jak że go ta nowina ucieſzyła? dałabym życie ſwoie, że ſię w Jeymci kocha.

OBŁUD.

Rychłoż tu przyidzie?

ZOSIA.

Zdaie mi ſię, że iuż idzie . . tak ieſt, to ona . . . . . zoſtawuię tedy Was Państwa ſamych [*odchodzi.*]



SCENA III.

PODSĘDKOWA, OBŁUDNICKI.

OBŁUDNICKI.

NIeſkończone Bogu oddaię dzięki, że W. Dobrodzikę na duſzy y na ciele zdrową widzę, o co gorliwie w niegodnych modłach moich Niebios proſzę, iako nayprzywiązańſzy y nayżyczliwſzy iey ſługa.

PODSĘD.

Bardzo W. Panu dziękuię, za te pobożne życzenia iego . . ale uſiądźmy, wygodniey nam będzie.

OBŁUD. [*podaie iey krzeſzło y ſam ſiada*]

Jakże? przecież ſię W. Pani Dobr. teraz czerſtwieyſzą bydź czuieſz,

PODSĘD.

Dalekom zdrowſza, y iużem ze wſzyſtkim ſrebrę ſtraciła.

OBŁUD.

Nie przypiſuię tego niegodnym modlitwom moim, ktore podobno żadnych nie maią zaſług . . . ale iednak muſzę ſię przyznać, iż żadney nie poſyłam do Nieba modły, ktoraby zdrowia W. Pani Dobr: za cel niemiała

PODSĘD.

Doſyć mi ieſt znaioma gorliwość W. Pana, ktorey. . . .

OBŁUD.

Niemożna nigdy nazbyt ſzacować drogiego zdrowia W. Pani Dobr: dla polepſzenia ktorego, chętniebym był ofiarował życie ſwoie.

PODSĘD.

Jeſt to bardzo wielka miłość chrześciańſka, y wiele mu mam wdzięczności za te ku mnie względy.

OBŁUD.

W. Pani Dobr: nie rownie więkſzych warta ieſteś.

PODSĘD.

Radabym z W. Panem o iedney rzeczy w ſekrecie mówić chciała, iakoż rozumiem że tu nas nikt niepodſłucha.

OBŁUD.

Chętnie chcę wiedzieć ten ſekret, y bardzo mi to miło, że mi ſię zdarza ſpoſobność mowienia ſam na ſam z W, Panią Dobrodzieyką; dawnom iuż o to proſił Niebios, y widzę, żem ſię dziś tey pożądaney doczekał chwili.

PODSĘD.

Zyczyłam ſobie tym końcem oſobną z W.Panem mieć rozmowę, abyś mi ſzczerze ſerce ſwoie otworzył, y z niczym ſię przedemną nie taił.

[*Wincenty y Trefnicki wchodzą po cichu na Teatr y przyſłuchuią ſię.*

OBŁUD.

Ja też iuż dawno pragnę, całą duſzę moią W. Pani Dobrodzice otworzyć, y wyznać iey, żem

nie z powodu złości, albo dziwactwa ganił, wizyty ktore W. Pani Dobr: od rożnych Ichmciow odbierasz, ale iedynie z powodn żarliwości, czyli przywiązania. . .

PODSĘD. [*przerywaiąc mu*]

Ja temu daię wiarę . . y mniemam że zbawienie moie tę w nim wzbudza gorliwość.

OBŁUD. [*bierze ią za rękę y sciska iey palce*]

Tak iest Mościa Dobr: bez wątpienia . . . y żarliwość moia, tak iest natężona, że . . .

PODSĘD.

Ey! oy, oy . . iakże mi W. Pan bardzo scisnąłeś palce!

OBŁUD.

To z wielkiey gorliwości . . . niemyślałem W. Pani Dobrodzice nic złego uczynić, y wolałbym raczey . . [*kładzie rękę na iey łono*]

PODSĘD.

Coż to tam ręka W. Pana robi?

OBŁUD.

Probuię iaka to suknia . . Materya mi się zdaie bardzo delikatna.

PODSĘD.

Ach! day mi W. Pan pokoy, bom ia strasznie łaskotliwa [*umyka swego krzesła*]

OBŁUD. [*na boku*]

Tym lepiey! [*przysuwa się do niey y kładzie rękę na piersi oglądaiąc niby blądyny*] Moy Boże iakiż to przedziwny dessein w tym garnirowaniu;

waniu; rzemiosła w tym wieku do wielkiey przyszły doskonałości . . co to za misterna robota, iakże to Damy nazywaią?

PODSĘDKOWA.

To są blondyny . . . ale mowmy o naszym interesie . . Doszły mnie wieści, że mąż moy odmieniwszy myśl swoię, za W. Pana Córkę naszą chce wydać: powidzże mi W. Pan szczerze, czy to prawda czy nie?

OBŁUD.

Namienił mi wprawdzie o tym . . ale mòwiąc rzetelnie Mościa Dobrodziko, nie iest to, to dobro, do ktorego ia wzdycham, widzę gdzie indziey cudnieysze powaby, ktore życzeń moich iedynym są zamiarem.

PODSĘD.

O! bo W, Pan nic niekochasz na ziemi.

OBŁUD.

Nie mam iednak serca kamiennego, iest czułe.

PODSĘD.

Ja zaś mniemam, że wszystkie wzdychania W. Pana, prosto do Nieba dążą, y że nic na świecie serca iego uiąć niepotrafi.

OBŁUD.

Miłość ktora nas przywięzuie do piękności wiecznych, niegasi w nas miłości do doczesnych. Zmysły nasze łatwo bydź mogą uięte stworzeniem iakim doskonałym; naprzykład W M. Pani Dobrod: iesteś tym dziełem prześlicznym w ktorym doskonałą budowniczą Niebios upatruię rękę. Ta przyiemna twarzy kształtność,

ta oczu żywość, ktora ſerce w ſkruś przenika, y inne wyborne przymioty, ſą to dary Nieba, tym ſzacownieyſze, im rzadziey w innych ſię znayduią; ani ſię wpatrywać mogę w tak doſkonałe ſtworzenie, iakim ieſteś W. Pani Dobrodzika, żebym w nim nie admirował Tworcy Natury, y nieczuł przywiązania do tego obrazu, w ktorym doſkonałość iego odmalowaną widzę. Boiąc ſię iednak, żeby to uczucie niepochodziło od złego Ducha, przedſiewziąłem był, niezapatrywać ſię zbytecznie w te doſkonałości, abym przez to memu niezaſzkodził zbawieniu; ale widząc na koniec, o! piękności naymilſza! że to rzecz niewinna, y że wcale wſtydowi nieſzkodząca, odważam ſię W. Pani Dobrodzice uczynić ofiarę ſerca mego, a tą ofiarą w niey uczcić Niebo, ktore ią tylą powabami udarować chciało. Czekam iednak ſkutku moich chęci, iedynie od Jey dobroci, y ulżenia w cierpieniu moim od iey czułey łaſkawości . . . w W. Pani Dobrodzice wſzyſtka ieſt nadzieia moia, y dobro moie, od niey zależy udręczenie, y ulga moia . . iednym ſłowem mówiąc, chcę za iey wyrokiem, albo zoſtać ſzczęśliwym, ieżeli tak W. Pani Dobrodzika chceſz, albo też nieſzczęśliwym, ieżeli ſię Jey tak podobać będzie.

PODSĘD.

To oświadczenie bardzo ieſt grzeczne, y przyznać ſię muſzę W. Panu, że mnie niezwyczaynie zadziwia. . . Trzeba ſię było W. Panu dłużey cokolwiek nad nim rozmyśleć . . co? dewot taki, iak W. Pan, ktory wſzędzie ieſteś przykładem ſkromności, y . . .

OBŁUD.

Ach! Mościa Dobrodziko, będąc dewotem, nieprzestaię bydź człowiękiem; patrząc na iey śliczne powaby, serce nie ma czasu w długich zostawać uwagach. . . Pewien iestem, że ten sposob mowienia, zadziwia W. Panią Dobrodzikę . . ale chciey zważyć, że nie iestem Aniołem, a ieżeli te moie oświadczenia potępiasz, krzywdę swoim czynisz wdziękom, ktore serce moie poniewolnie uięły. . . Jak tylko postrzegłem w Jey Osobie wyższą doskonałość nad inne stworzenia, zostałaś zaraz duszy mojey Panią wielowładną. To przenikaiące Jey pięknych oczu weyzrzenie, owa z Niebios wlana przyiemność, wszystek serca mego przekonały upor. Moie posty, łzy, modlitwy, y wszystkie ćwiczenia duchowne nieodbitego ku niey przywiązania przezwyciężyć nie mogły . , wszak to nie sto razy oczy y wzdychania moie W. Pani Dobrodzice poznać dawały. . . . Jeżeli czuła dobroć Pani moiey, strapione serce moie pociesżyć raczy, wiecznym mnie niewolnikiem swoim mieć będziesz . . . Honor zaś W. Pani Dobrodziki nie będzie w niczym wysławionym; nie tak się bowiem ludzie mego gatunku chełpią . . miłościami swemi, iak czynić nazwykli galancikowie Dworscy, ktorzy się nawet szczycą doznanemi od Dam względami, chociaż bardzo od tego dalekiemi byli. Oni są w kochaniu niestateczni, od iedney do drugiey biegaią, y ostatnią częstokroć płacą niewdzięcznością; ale tacy, iak ia, są dyskretni, choć pałaią ogniem miłości, z nim się kryią, y w głębokim intrygi swoie zachowuią sekrecie; spo-

ſoby zaś, ktorych używamy na utrzymanie ſwoiey ſławy, ſą bardzo wygodne dla każdey Amantki, ſtatecznie kochamy, przed światem ſię taiemy, y nigdy obelgi nie czyniemy Ołtarzowi, gdzie naſze palemy ofiary, każda w nas znaydzie żywą miłość bez zgorſzenia, y ukontentowania bez boiaźni y ſzkody.

PODSĘDKOWA.

Wielką W. Pan widzę w tey materyi, maſz wymowę, y doſyć mi ſię w iaſnych tłomaczyſz wyrazach . . A moy Dobrodzieiu? nie boiſz ſię też W. Pan, żebym o tych gorących umizgach iego Mężowi memu nie powiedziała? zdaie mi ſię, że to odkrycie natychmiaſt by rozerwało przyiaźń, ktorą ma ku niemu.

OBŁUD.

Delikatność zdania W. Pani Dobrodziki czyni mi nadzięię, że ludzkiey przepuściſz ułomności, y raczyſz pamiętać, że każdy ſłabości podlega, gdy tak doſkonałe widzi ſtworzenie.

PODSĘD.

Może to bydź, że W. Panu odpuſzczę, y przed Mężem moim tego niewſpomnę, ale iedynie pod tym obowiązkiem, żeby Corka naſza poſzła za Pana Skarbnikiewicza; maiąc bowiem wielką moc nad umyſłem męża mego, łatwo go do tego potrafiſz nakłonić. Jeżeli to iak nayprędzey wykonaſz, w głękokiey wykroczenie W. Pana zachowam niepamięci . . y nigdy. .



SCENA IV.

PODSĘDKOWA, OBŁUDNICKI, WINCENTY, y TREFNICKI,

(*raptem z gabinetu wypadaią*)

WINCENTY.

NIE, Mościa Dobrodziko nie, . . wszyscy się o tym dowiedzieć muszą.

TREFNICKI.

Hoy! zapewne, zapewne! przysłuchaliśmy się wszystkiemu . . ale iakież ten Nabożniczek akty strzeliste do żywych obrazow wysyła! . . Pięknie, pięknie, patrzcież, ow Dewot przykładny.

WINCEN.

Dał mi cię Bog w ręce Zdrayco obłudny. . . Co za odwaga Matce moiey, a Żonie Dobrodzieia swego, o miłościach gadać? powiem ia Oycu, iakiego złoczyńcę, iakiego niewdzięcznego węża w swym Domu chowa.

PODSĘD.

Moy Synu! już dosyć dla niego kary, ten przypadek go poprawi, trzeba mieć politowanie, Damy uczciwe podobne głupstwa ukrywać powinny, y ia mu dała słowo o tym nikomu nie mowić.

TREFN.

Ale my na to słowa niedaliśmy, hoy! trze-

ba Jegomości kurtę ſprawić, wey! wey, iakiż mi Umizguś.

WINCEN.

Nie Mościa Dobrodziko, nigdy na to zezwolić nie mogę; ten Oſzuſt doſyć długo Oycem moim rządził, przecie mi ſię zdarzyła pora, poniżyć zuchwałość iego . . Pozna Oyciec iakiego niewdzięcznika dobrodzieyſtwa iego uczyniły.

TREFNIC.

Hoy! tak, złapaliśmy ptaſzka, nietrzeba go tak na ſucho wypuścić.

PODSĘD.

Ale daycież pokoy temu. . .

WINCEN.

Przepraſzam W. Panią Dobrodzikę, że tego nie uczynię, nad to mi ſię ten Obieś dał w znaki, znalazłem przecie ſpoſobność zemſzczenia ſię za to wſzyſtko, com z łaſki iego wycierpiał, przed wſzyſtkiemi wyſtępek iego rozgłoſzę . . ale też właśnie Jegomość nadchodzi.

SCENA V.

CIZ SAMI y FANATYCKI.

WINCENTY.

SLICZNEY ſię W. Pan Dobrodziey od nas dowieſz nowinki, świeży przypadek, odkrył czarną niewdzięczność tego Obłudnika; widzie-

liśmy iak pięknie ſię chciał wypłacić W. Panu Dobrodzieiowi, za tyle łaſk y dobrodzieyſtw, y za to mocne przywiązanie, ktore maſz ku niemu. . . Czy uwierzyſz, że ten hołyſz nikczemny śmiał Jeymości ſwoy upał niegodny oświadczyć. Ale iey ſerce dobre, tę iego zuchwałość ſekretem pokryć chciało, ia zaś tego na ſobie przenieść niemogłem . . gdyż ta odwaga bezwſtydna należycie ukaraną bydź powinna.

TREF.

Tak ieſt Mości Dobrodzieiu, trzebaby Jegomości za te koperczaki, ſuchą łaźnię ſprawić, widziałem na ſwoie oczy, że W. Panu Dobr. z wielkiey gorliwości myślał ciężkie poſtawić rogi.

FANAT.

Co! to ty prawiſz hultaiu?

PODSĘD.

Ale przeſtańcież, proſzę, doſyć iuż ukarany, żona roſtropna takiemi baśniami Męża *zatrudniać* nie powinna, y dla Was też doſyć wielka zemſta żeście go zawſtydzili, nie potrzeba było tego rozgłaſzać przypadku [*odchodzi.*]

SCENA VI.

FANAT.

CO ia to ſłyſzę? . . O! Nieba . . czy możnaż temu wierzyć?

TREF:

Ani wątpić o tym potrzeba, Jegomść stałe miał przedsiewzięcie zrobić W. Pana Dobr: Rogaczem. *

OBŁUD.

Tak moy Bracifzku, tak . . . iestem winowayca, zbrodzien, grzefznik, pełen nieprawości, y złoczyńca naywiękfzy w świecie . . . . nie mafz dnia w mym życiu bez zbrodni . . . cały moy wiek iest ogniwem wfzetecznych występkow , . . słufznie mnie Niebo tym karze przypadkiem . . ach! co ia za grzefznik, nawet się bronić nieodważam, nieśmiem oczu podnieść, tak zawstydzony iestem. . . Wierz temu co ci powiadaią, y zaostrz gniew fwoy na mnie, iako na niegodnego złoczyńcę, wypądź mnie czym prędzey od siebie, o! . . niemafz tey kary choćby nayfurowfza, ktoreybym nie był godzien.

FANAT. [*do Syna*]

Zdrayco! takąż to potwarzą Cnotę iego śmiefz czernić? [*do Trefnickiego*] Y ty hultaiu niepoczciwy utrzymywać ią ważyłeś?

TREF.

Jam temu nie winien, że mam dobre oczy, ia tylko mowię. . .

WINCEN,

Co zaś? zmyślone upokorzenie tey dufzy obłudney, tak dalece W. Pana Dobr: uwodzi, że, aż. . .

---

* *Użyłem tego słowa Rogacz, za słowa Kornut albo Rogonos.*

FANAT.

Milcz przeklęta bestyo.

TREF.

Ha! ha! ha! on widzę oszalał!

OBŁUD.

Ach! pozwol mu mowić, niesprawiedliwie się gniewem unosisz, wierz im wierz, na coż masz pobłażać zbrodniom . . W. Pan patrzysz na powierzchowne sprawy moie , y sądzisz z nich żem iest Cnotliwym . . ach oszukuiesz się Braciszku temi pozorami . . . Nieiestem takim, iakim się bydź zdaię . . . Wszyscy mnie za Człowieka poczciwego y pobożnego maią, ale ia wielki złoczyńca, wielkie ladaco . . Tak moy Synu . . , tak Panie kochany. . . Mowcie, żem Wiarołomca, zdrayca, zbrodzien, potwarca, Oszust, złodziey, zboyca, nazwiycie mnie ieszcze y gorzey, ia się niczemu niesprzeciwię, wartem tego, y chcę to na klęczkach [*klęka złożywszy ręce*] znieść tę hańbę, na ktorą przez zbrodnie moie szkaradne zasłużyłem.

FANAT. [*do Obłud.*]

Ach! to nazbyt [*do Syna*] Coż zdraycy? ieszcze to was serce niestrofuie?

TREF.

Bynaymniey nie, y owszem się dziwuię że. . . .

WINCEN.

Co? więc iego mowa obłudna, tak dalece W. Pana Dobr: uymuie, że nawet. . . .

FANAT.

Milcz poczwaro [*do Obłud.*] Moy Braciſzku, ach! podnieś ſię proſzę [*uciera kolana Obł.* [*do Syna*] Synu bezbożny! . . .

WINCEN.

A on widzę potrafi. . .

FANAT.

Ey! milcz.

TREF.

A! to ſię naturalnie niedzieie, muſiał go ten oſzuſt oczarować.

WINCEN.

Ledwie ſię niewściekne. . . Co zaś? ia mam na to milczeć?

FANAT.

Ciſzey mowię! bo iak mi przebąknieſz aby słowko, kości w tobie pogruchoczę.

TREF.

Ha! ha! ha, opętany Fanatyk.

OBŁUD.

Moy Braciſzku! zaklinam cię na miłość Boſką, niegniewayże ſię, wolałbym niewiedzieć co cierpieć, niż żebyś miał wywrzeć gniew ſwoy na niego.

FANAT. [*do Syna*]

Duſzo niewdzięczna!

OBŁUD.

Day mu pokoy . . . bo prawdziwie na oba pa-

dnę kolana, zaklinaiąc cię, abyś śię nie gniewał na Syna [*klęka*]

FANAT. [*klęka y ściſka go*]

Ach co czyniſz Duſzo pobożna! Duſzo pokorna! [*do Syna*] Nic poczciwego, patrz iaka ieſt dobroć iego [*podnośi go y całuie*]

TREF.

Ha! ha! ha! ſzaloniuteńki.

WINCEN.

Więc tedy. . .

FANAT.

Ciſzey!

TREFN.

Tu śię widzę na guzy zanośi, trzeba ztąd umknąć zawczaſu. [*odchodzi*]

WINCEN.

Jakże zaś? czy można. . .

FANAT,

Ciſzey mówię ci . . . wiem ia co was przeciwko niemu pobudza, wy go wſzyſcy nienawidzicie, poznaię to oczywiście . . Zona, Szwagier, Dzieci, ſłudzy, wſzyſcy śię zprzyśięgli na niego . . y wſzyſtkich ſztuk zażywaią na poniżenie tey pobożney Oſoby . . ale im więcey wy go pognębić uśiłuiecie, tym więcey poważać go będę, y na złość całey Familii dam mu Corkę moię za żonę.

WINCEN.

Ale czy ona zechce przyiąć rękę iego?

FANAT.

Muſi hultaiu, muſi, dziś ieſzcze wieczor na pſotę wam wſzyſtkim, zobaczę ieźli mi nie będzie posłuſzną; dam wam poznać, że ia rządzę, y że wſzyſcy rozkazy moie pełnić powinni. . . Podź ſam zaraz niecnoto, upadniy mu do nog y przeproś go na tych miaſt. . .

WINCEN.

Kto? ia mam upaść do nog temu hołyſzowi, który . . fałſzywą potwarzą. . .

FANAT.

Ach! obieſiu niepoczciwy! śmieſz mi ſię ieſzcze opierać? y lżyć tak Swiętą oſobę? . . . hey kija, kija.

OBŁUD [*zatrzymuie go*]

Dayże pokoy Braciſzku!

FANAT.

Puść mnie, puść . . won mi z domu, y żebyś mi ſię tu więcey wracać nie ważył.

WINCEN.

Dobrze, poydę . . ale wiem. . . .

FANAT.

Fort mi zaraz . . wyzuwam cię Synu odrodny z Dziedzictwa mego, y na wieki ci daię przekleństwo moie.



SCENA VII.

TREFNICKI [*przybiega z kiiem*]

WOŁAŁES W, Pan Dobr: kiia, otoż przyniosłem, upewniam, że się nie tak łatwo spęka, możesz nim W. Pan Dobrodziey bespiecznie wszystkie upały miłośne z tego gaszka wypędzić.

FANATYCKI.

Co ty gadasz hultaiu?

TREF.

Alboż to nie na niego kiia trzeba było?

FANAT.

Na niego zaś, ty bluźnierco bezbożny, ty śmiesz. . . .

TREF.

Prawdziwie sądziłem, że Pan Wincenty przekonał W. Pana Dobr: o niegodziwych żądzach tego Obłudnika.

FANAT.

Jako zuchwalcze! co ty gadasz? hey! iest tam kto, sto kijow mu dać każę.

TREF.

Ach! Mości Dobr: daruy mi aby ten raz, nigdy iuż prawdy mówić nie będę . . niech skonam ieżelim co widział.

FANAT.

Nauczę ia ciebie, takie zmyślać potwarzy [*wyrywa mu kii y biie go*]

TREF.

Oy! oy! oy. [*ucieka.*]

SCENA VIII.

OBŁUDNICKI, FANATYCKI

FANATYCKI.

OTOZ to y ten hultay wſzedł w ſpiſek przeciwko niemu, przebog! coż im ta pobożna uczyniła oſoba, że ią tak znieważaią?

OBŁUD.

O! Nieba daruycie im krzywdę, którą mi wyrządzaią . . ach! gdybyś wiedział, iak tym tkliwie zmartwiony ieſtem, że mnie wſzyſcy w umyśle W. Pana czernić uſiłuią.

FANAT.

Nie trwoż ſię moy Braciſzku, choćby ſię całe piekło na ciebie ſpiknęło, zaſzkodzić ci niepotraſi.

OBŁUD.

Same wſpomnienie tey niewdzięczności wſkroś duſzę moie przeraża . . okropność, ktorą mi ten poſtępek ſprawuie . . ale żal tak mi ſerce opanował, że więcey mowić nie mogę, podobno mnie to o śmierć przyprawi [*niby płacze*]

FAN. [*płacząc bieży do drzwi y grozi*]

Nic poczciwego! żałuię, żem cię tu trupem nie położył . . Ukoy żal twoy, moy Braciſzku, y nie martw ſię więcey.

OBŁUD.

Zapobieżmy raczey tym kłótniom. Zdaie mi ſię że ieſtem źrzodłem wſzyſtkiego zamięſzania tego . . lepiey pono będzie, moy Braciſzku, kiedy im ztąd uſtąpię.

FANAT.

Co zaś? żartuieſz ſobie?

OBŁUD.

Wſzyſcy mnie tu nienawidzą y ia doświadczam że mnie u W. Pana w podeyrzenie chcą wprawić?

FANAT.

Y coż ztąd, wſzak widziſz że im niewierzę.

OBŁUD.

O! zapewne to ſię na tym nieſkończy, też ſame poduſzczenia, których teraz ſłuchać niechceſz. będą ieſzcze powtarzane, y W Pana może uwiodą.

FANAT.

Nie moy Braciſzku nigdy.

OBŁUD.

O moy Braciſzku, żona ma wiele mocy nad mężem ſwoim, y kiedy czas upatrzy wſzyſtko. . .

FANAT.

O! nieboy ſię tego, iuż my lat bliſko dwadzieścia z ſobą żyiemy, nie potrafi mi iuż głowy zawrucić.

OBŁUD.

Pozwol iednak, żebym ſię z domu twego iak

nayprędzey oddalił, bo ia tu u wſzyſtkich ieſtem iak ſol w oku.

FANAT.

Nie Braciſzku, muſiſz ſię zoſtać, bo tu idzie o zbawienie moie.

OBŁUD.

Ha! kiedy inaczey już bydź nie może . . . trzeba tedy znoſić wſzyſtkie prześladowania; iednakże gdybyś pozwolił. . . .

FANAT.

Ach! czy można.

OBŁUD.

Niechże y tak będzie . . więc niemowmy no tym . . ale wiem, iak ſię obchodzić będę . . . honor ieſt to delikatna materya, będę tedy unikał każdey okoliczności, ktoraby przyczynę do podeyzrzenia y obmowy dać mogła . . . nie będę ſię nigdy widywał z Jeymością, y z tobą iedynie. . .

FANAT.

Nie, nie, niedbay nic na to, owſzem ia chcę, żebyś im na pſotę uſtawicznie u niey przeſiadał, y niedoſyć na tym . . żebym im ieſzcze żywiey dopiekł, niechcę innego mieć Dziedzica mey fortuny, iak ciebie, y tym końcem uczynię ci uroczyſtą donacyą wſzyſtkich Dobr moich ogólnie. Dobry y ſzczery przyiaciel. ktorego obrałem za Zięcia ſwego, daleko mi ieſt milſzy niż Syn, Corka, Zona y wſzyſcy krewni . . Jakże Duſzo pobożna, czy niepozwoliſz, żebym to uſkutecznił ?

OBŁUD.

Niech ſię ſtanie zadoſyć woli Boſkiey we wſzyſtkim.

FANAT.

Nieboraczek! iak że ma ſerce powolne, poydę teraz czym prędzey do Grodu, y uczynię ci Ceſſyą całey Fortuny moiey, niech potym wſzyſcy pękną z zazdrości.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.



AKT VI.

SCENA I.

PODSTOLI, OBŁUDNICKI.

PODSTOLI.

WSZĘDZIE iuż o tym gadaią, y upewniam W. Pana że to cnocie y honorowi iego krzywdę czyni . . bo ſię wſzyſcy ludzie z poſtępku W. Pana gorſzą. . . Daymy, nawet że Pan Wincenty pobłądził, y że nieſprawiedliwie W, Pana przed Oycem oſkarżył, trzeba mu to było z miłości Chrześciańſkiey darować, a nie zaś dopuſzczać, żeby Oyciec Syna ſwego z Domu wypędził, y wydziedziczył, prawdziwie powinieneś W. Pan mieć w tym ſkrupuł. . . Y otwarcie odkrywam mu myśl moią, żeś w tym bardzo wykroczył, y ten poſtępek nieludzki pobożność W. Pana w całym oczernił Mieście. Wierz mi W. Pan, ieżeli cokolwiek maſz ludzkości, gniew y urazę ſwoią dla miłości Boſkiey ſakryſikować będzieſz y Syna znowu z Oycem poiednaſz.

OBŁUD.

Radbym to z całego ſerca uczynił, bo nienawiści żadney nie mam ku niemu . . wſzyſtko mu przepuſzczam, y chętniebym mu we wſzyſtkim uſłużył. . . Ale interefs Boſki niekaże te-

go czynić, y ieżeli on tu powroci, ia muſzę uſtąpić. . . Po tey akcyi iego nieſłychaney bez zgorſzenia z nim więcey przeſtawać nie mogę. . . Mowionoby zapewne, żem ia ſię iedynie dla tego z nim zgodził, iż poczuwaiąc ſię do zarzutów przez niego mi uczynionych, obawiam ſię, aby mi przed światem nieſzkodził. Niemiano by tedy moiey powolności za miłość bliźniego, ale za prywatny moy intereſs, a tak Bog y cnota mieliby krzywdę.

PODSTOLI.

Ey Mospanie! po coż to z intereſſem Boſkim w każdey rzeczy wyieżdzaſz? . . . Alboż to Bog potrzebuie W. Pana na zemſzczenie ſię ſwoiey krzywdy? zoſtawmy Niebu ſtaranie ukarania winnych, a czyńmy raczey to, co nam przepiſuie, każe nam przepuſzczać bliźniemu, a W. Pan ſię tu oczywiście woli iego ſprzeciwiaſz.

OBŁUD.

Już powiedziałem, że mu z ſerca przepuſzczam y to ieſt co mi Boſkie nakazuie prawo . . ale żyć z nim nie mogę, bo by to było zgorſzeniem, a w tym ieſt Boſki intereſs.

PODST.

A to zapewne y w tym Boſki intereſs, żeś W. Pan przyiął tak wielką Fortunę od Oyca iego, ktory za błędnym idąc kapryſem, Syna ſwego wydziedziczył, a W. Panu wſzyſtkie Dobra zapiſał, chociaż naymnieyſzego do nich nie miałeś prawa.

OBŁUD.

Ci ktorzy mnie znaią, będą przekonani,

żem tego dla podłego nieuczynił interesu . . Wszystkie bowiem dobra ziemskie za nic niepoczytuię, y ich blask nigdy mnie omamić niepotrafi . . ieżelim offiarowane mi dobra przyiął, iedynie na to z tego zezwoliłem powodu, żeby w złe niewpadły ręce . . wolę ią ich posiadać, niżeli dopuścić, żeby iaki respustnik na złe y na obrazę Boską ich zażywał. . . Więc przyimuiąc te zapisy, iedynie tylko miłość Boską y bliźniego za cel miałem.

PODST.

Powody W. Pana na bardzo fałszywym fundamencie są zasadzone. . . Co to W. Pana ma interessować, że właściwy tych Dobr Dziedzic, na złe lub na dobre ich użyie? czyś za niego odpowiedzieć powinien? upewniam W. Pana, iż daleko większe iest zgorszenie prawdziwego Dziedzica z Fortuny odzierać, niż żeby on iey na złe używał.

OBŁUD.

Jam mu iey nie wydzierał. . . Jest to offiara z rąk pobożnych mi dana. . . Y Pan Wincenty podług sumnienia na mnie żalić się nie może, gdyż mi się żadnym sposobem z nim żyć nie godzi.

PODST.

Mospanie! muszę ci szczerze powiedzieć, że ani Cnoty ani sumnienia nie masz, bo gdybyś go miał cokolwiek powinien byś raczey sam ustąpić, a Syna z Domu Oycowskiego nie wypędzać; bądź W. Pan pewien że wszyscy o pobożności iego bardzo złe powezmą mniemanie y każdy. . . .

OBŁUD. [*dobywa zegarka*]

Ach! iuż ci to w puł do czwartey, muſzę ſię śpieſzyć na pewną pobożną powinność, daruy mi W. Pan, że mu dłużey ſłużyć nie mogę.

PODST.

Jakaż to duſza przewrotna, oy! Swiętożkowie! wolałbym z diabłami mieć ſprawę niż z takiemi Obłudnikami . . Skrupuł go bierze żeby Dziedzic na złe nieużył Fortuny, a w tym nie ma ſkrupnłu że mu ią wydziera. . . Jako widzę, tego gatunku ludzie, naywiękſze wyſtępki, płaſzczykiem cnoty y religii uſprawiedliwiać umieią.

SCENA II.

PODSĘDKOWA, KUNEGUNDA, ZOSIA, PODSTOLI.

ZOSIA,

Ach! zmiłuy ſię W. Dobrodziey, a ratuy tę nieſzczęśliwą Pannę; nieſłychane przedſięwzięcie, w ktorym ieſt Jegomość, wydania ią za Obłudnickiego w roſpacz ią wprowadzi . . . . . Złącz ſię W. Pan Dobrodziey z nami, y uſiłuymy iakimkolwiek ſpoſobem te nieſzczęśliwe obalić zamyſły, . . Otoż Jegomość nadchodzi, nieopuſzczaymy tey okoliczności.



SCENA III.

CIŻ SAMI y FANATYCKI.

FANATYCKI

CHWAŁA Bogu, żem tu Was zastał zgromadzonych . . Moia Konnsiu! rozumiem, że będziesz kontenta z tego, co ci powiem. . . Za trzy godziny iuż będziesz Panią Obłudnicką.

KUNEG. [*klęka*]

Ach! kochany Oycze! zaklinam W. Pana Dobr: na miłość Boga, ktoremu śmiertelny ucisk moy wiadomy, ly na wszystko to, co iest zdolnym serce iego zmiękczyć. . . Uchyl trochę tey władzy, ktorą ci nademną dała natura . . nieprzymuszay mnie do tak srogiego posłuszeństwa, niebądź przyczyną nieszczęśliwości moiey, żebym się żaliła przed niebem na twoy rozkaz okrutny. . . . Ach! Oycze kochany, chcesz to życie, ktoreś mi dał nieznośnym dla mnie uczynić? che? che? [*uciera oczy chustką*] ieżeli mi nad nadzieię moią bronisz bydź żoną tego, ktoremu dać mię przyrzekłeś dawniey, nie wystawiay mię przynaymniey na tę okropność, ktorą czuię, skoro pomyślę o tym, ktoremu serce moie poniewolnie mam oddać. . . Pamiętay Oycze, żem Corką twoią, słuchayże głosu natury, krwi twoiey, y lękay się smutnych skutkow rospaczy moiey, ieżeli mnie przymusisz te okrutne wypełnić zamysły.

FANAT.

Nuże serce moie bądź mężnym y niepokazuy słabości ludzkiey.

KUNEG.

Miey W. Pan Dobr: iak naywiękſze przywiązanie do Obłudnickiego, day mu codzień dowody łaſki ſwoiey, uſtąp mu Dobra wſzyſtkie nawet y część moią, ale nierozciągay hoyności ſwoiey aż na oſobę moią, . . Dopuść raczey, ieżeli inaczey bydź nie może, niech me ſmutne życie w ſciſłym dokończę klaſztorze.

FANATYCKI.

Ot patrzcież no . . co mi za Mniſzka! zaraz ſię tym Panienkom chce do Klaſztoru, iak tylko ſię Oyciec ich ſprzeciwia miłości, wſtań . . wierz mi moia Corko, im więcey do Obłudnickiego czuieſz wſtrętu, tym więkſzą przed Niebem będzieſz miała zaſługę, gdy poydzieſz za niego, umartw zmyſły twoie tym zamęściem, a nie ſuſz mi proźnie głowy.

ZOSIA.

Ale czy można Mości Dobrodzieiu. , , .

FANAT.

Ey!. ty, ty, ty, milcz że! y niewtrącay tu noſa twego, rozumnieſz ? . . .

PODST.

Jednakowoż gdybyś W. Pan moiey chciał poſłuchać rady.

FANAT.

W. Pana rady moy Braciſzku, mogą bydź bardzo dobre y roſtropne, ale daruieſz mi W. Pan że nie poydę za niemi.

PODSĘD.

Patrząc na to wſzyſtko ſama iuż nie wiem

co mowić . . dziwować ſię tylko muſzę W. Pana zaślepieniu; y że dziſieyſzy przypadek niewyprowadził W. Pana z uprzedzenia, ktore maſz ku temu człowiekowi.

EANAT.

Uniżony ſługa W. Pani, ia niewierzę pozorom, y znam przychylność W. Pani ku temu hultaiowi Panu Wincentemu, ktory za iey pomocą tak niegodziwie tę pobożną oſobę chciał oczernić.

PODSĘD.

O! iuż też tego wycierpieć nie mogę . . . . Nie ieſt to oczernienie moy mężu, ale iſtna prawda . . upewniam W. Pana, że ta święta Duſza, winnego mi ubliżyła uſzanowania, y ważyła mi ſię ſwe bez-wſtydne ku mnie odkryć chęci, niechciey dłużey wątpić o tym.

FANAT.

O! nic to nie pomoże, powſtaway W. Pani iak chceſz przeciwko temu człowiekowi cnotliwemu niezaſzkodziſz mu, nie.

PODSĘD.

Ach! iakże niepoięte ieſt zaślepienie W. Pana . . łatwobym cię iednak przekonała, że to prawda, gdybyś ſwemi widział oczyma.

FANAT.

Gdybym widział?

PODSĘD.

Tak ieſt.

FANAT.

Bayki to, bayki.

PODSĘD.

A kiedy ia znaydę ſpoſob, że to oczywiście zobaczyſz.

FANAT.

Zartuy ſobie, żartuy.

PODSĘD.

Co za człowiek! przynaymniey odpowiedz mi, kiedy niechceſz nam wierzyć . . daymy na przykład, żebym ci widocznie wſzyſtko pokazała, coż byś też o tym pobożnym powiedział człowieku?

FANAT.

W tym razie powiedział bym. . . Oto bym nic niepowiedział, bo to być nie może.

PODSĘD.

Nadto długo moy mężu trwaſz w tým błędzie, y właśnie o mnie trzymaſz że cię chcę zdradzić . . przynaymniey dla ſprobowania pozwol mi, niech cię świadkiem tego uczynię, co ci o Obłudnickim mówiono.

FANAT.

Dobrze, całym ſercem, ale proſzę żebyś W. Pani ſwego ſłowa niecofnęła, ciekawym też wiedzieć iakiey do tego użyieſz ſztuki.

PODSĘD.

Zobaczyſz W. Pan [*do Zoſi*] proś tu Obłudnickiego do mnie.

ZOSIA.

Ale Mościa Dobr: ieſt to ptaſzek oſtrożny, ciężko go będzie ułowić.

PODSĘD.

O! niewierz temu, moia kochana, do razu w łapki moie wpadnie, nadto bowiem mi dufa, żeby naymnieyſze o mnie miał podeyrzenie,niech tylko tu przyidzie [*do Podſt. y Kuneg.*] a W. Páńſtwo ztąd uſtąpcie na moment.

SCENA IV.

FANATYCKI, PODSĘDKOWA.

PODSĘDKOWA.

PRZYSUN W. Pan bliżey ten Stolik y wleź pod niego.

FANATYCKI.

A to na co?

PODSĘD.

Koniecznie ſię W. Pan ſkryć muſiſz.

FANAT.

Ale na coż pod Stolik ?

PODSĘD.

Zobaczyſz W. Pan . . proſzę uczyń to tylko, y w krotce poznaſz moie zamyſły . . . . . nuże wleź czym prędzey, żeby W, Pana ani widział, ani ſłyſzał.

FANAT.

Prawdziwie aż nadto W. Pani powolny ieſtem, zobaczę też przecie, iaki to ſkutek mieć będzie [*lezie pod Stolik, zpod ktorego przez nieiaki czas głowę wyścibia*]

PODSĘD. [*do Męża pod Stołem będącego*]
Jeſtem pewna, że mi ſię ta ſztuczka głownie uda . . ale proſzę cię, żebyś ſię nie gorſzył z tego, co ia czynić będę, bo to delikatna bardzo materya . . niech mi ſię wſzyſtko mówić godzi, co w tey mierze przyzwoitym oſądzę, a to dła pokazania W. Panu, iaki gatunek Obłudnickiego . . udawać tym końcem będę powolność, dla zdięcia maſki z tego hipokryty, wiem że miłość iego ku mnie aż nadto ieſt śmiała; otoż mu ſię teraz łatwieyſzą pokażę, y chęciom iego podchlebiać będę. A ponieważ to tylko czynię dła przekonania W. Pana, o nierządnych iego ku mnie upałach, to daley intereſſu tego niedopuſzczę nad wolę W. Pana. . . do Męża to należeć będzie, miłoſne iego przerwać impety, gdyby od natarczywości iego niebeśpieczeńſtwo iakie dla żony bydź miało. Wſzak to W. Pana naybardziey intereſſować powinno . . ſkryi ſię ſkryi, bo iuż nadchodzi.

SCENA V.

OBŁUDNICKI, PODSĘDKOWA,

OBŁUDNICKI.

POwiedziano mi, że W. Pani Dobr: chceſz tu ze mną mówić.

PODSĘD. [*wdzięcząc ſię*]
Tak ieſt . . chcę ſię W. Panu pewnego zwie-

rzyć ſekretu . . ale zamkniy moy Panie kochany wprzod drzwi, y zobacz, ieźli kto nas niepodſłuchuie.

OBŁUD. [*idzie do drzwi y wraca ſię*]

PODSĘDKOWA.

Nie życzyłabym ſobie, żeby nas kto znowu nad ſpodziewanie moie niezſzedł, iak ſię nam nie dawno przytrafiło, nieuwierzyſz W. Pan, iak mnie to bardzo pomięſzało, niemalem od zmyſłow odeſzła; ale przecie chwała Bogu, ani mnie ani W. Pana w podeyzrzenie niewprawiły u Męża ich zaſkarżenia; owſzem żeby pokazał iak wiele naſzey dowierza cnocie, wyciąga tego po mnie, żebym ſię uſtawicznie z W. Panem bawiła . . przeto bezpiecznie nawet, y drzwi zamknąwſzy z nim mogę rozmawiać, y odkryć mu ſerca mego uczucia, z ktoremi ſię dotąd z boiaźni taiłam.

OBŁUD.

Ach! coż ia ſłyſzę Mościa Dobr:? ta mowa mię mocno zadziwia, wcale teraz inſzym ſtylem do mnie mówiſz.

PODSĘD.

Oh! ieżeli ſię W. Pan natychmiaſt odraziłeś, żem ſię chęciom iego na ów czas ſprzeciwiała, to W. Pan wcale ſerc kobiet nieznaſz. Wiedz o tym, że płeć naſza iedynie dla tego nie zaraz wam ſię poddaie, żeby zwycięſtwo waſze ſłodſzym y ważnieyſzym uczyniła; gdyż rzeczy łatwo nabyte nie maią tey u was ceny, iaką w tych pokładacie, ktorych wam z ciężkością y wielką pracą nabyć przyſzło. Chciey potym

zważyć, że wſtyd nam ieſt właśnie wrodzony, y wychowaniem ſkromnym w nas wlany, przeto nieśmiemy ſię zaraz odkrywać z ſłabością naſzą, ale choć ſię broniemy niby mężnie, można iednak poznać potym ſpoſobie ſprzeciwiania ſię natarczywościom męſzczyn, że ſię ſerce naſze ze wſzyſtkim poddaie. . . . . To wyznanie moie podobno nadto ieſt prętkie: Ale na cóż mam dłużey odwłuczyć, y gwałt czynić ſercu memu, ktore dawno zobopolną ku tobie miłością ieſt uięte! wiele mię to iuż koſztowało, żem dotąd oboiętność pokazywała . . . Jedynie też dla tego domagałam ſię rozerwania ułożonego Małżeńſtwa, niechcąc na to zezwolić, żeby to ſerce w podział iść miało, ktore ia ſama całe pragnę poſiadać.

OBŁUD.

Niewymowna to ieſt Mościa Dobrodziko rozkoſz dla Duſzy moiey, że ſłyſzę tak miłe ſłowa z tych uſt, ktore z taką kocham żywością. Słodycz tego miodu, po wſzyſtkich ſię moich zmyſłach rozpływa, podobać ſię W. Pani Dobr: będzie to iedynym ſtaraniem moim, gdyż ſerce moie iedynie w ich wyrokach ubłogoſławienie ſwoie znaleść może; Ale niech ſię godzi temu ſercu powiedzieć, że ſię nieco obawia, żeby ta mniemana ſzczęśliwość, nie była ſztuczną zaſadzką, dla odciągnienia mię od ułożonego Małżeńſtwa, ktore ſię iuż zbliża. Smiem tedy mocnieyſzych żądać dowodow, na przekonanie mnie, że te oświadczenia nie ſą ſidłem dla mnie. Chciey tedy upewnić los moy ſzczęśliwy, udzieleniem mi iſtotney łaſki twoiey, a zaraz ca-

łego ſiebie z Ciałem y Duſzą pod Twoy rząd oddam wielowładny.

PODSĘDKOWA.

Jakże W. Pan ſzybkim bardzo krokiem ſpieſzyſz do doświadczenia tych naywiękſzych dowodow! zdaie mi ſię, żeby z razu doſyć było na oświadczeniu przychylności, a nie żądać zaraz zupełnego ſwych pragnień naſycenia.

OBŁUD.

Im mniey kto ma zaſług Mościa Dobr: tym mniey nadziei mieć powinien . . Oświadczenia ſame tak mnie upewnić nie mogą, iakby mnie ſkutek upewnił . . . W ten czas byłbym iuż przekonany o Jey względach, gdybym iſtotny tego dowod odebrał, y iużbym o ſzczęściu moim dłużey wątpić nie mogł.

PODSĘD. [*kaſzle*]

Prawdziwie, miłość W. Pana po Tyrańſku ſercem moim chce rządzić, y nawet nie daie mi czaſu do pomiarkowania ſię cokolwiek, chcąc natyhcmiaſt korzyſtać z tey ſłabości, którąm ci przez powolność moią pokazała. . . .

OBŁUD.

Ale kiedy W. Dobr: łaſkawie przyimuieſz Hołd, ktory iey ſerce moie ofiaruie, czemuż dłużey ſzczęśliwość moią odwłaczaſz?

PODSĘD. [*kaſzle*]

Ale iakże na to co W. Pan po mnie wymagaſz, bez obrazy Niebios zezwolić mogę? wſzak nas W. Pan codziennie tak gorliwie oto karciſz!

OBŁUD.

O! ieżeli tylko o to idzie, łatwo tę obalę

przeſzkodę, ktora ſerca W. Pani zatrzymać nie powinna.

PODSĘD.

Ale przebog! iakże ſię nie bać obrazy Boſkiey?

OBŁUD.

O! Mościa Dobr; potrafię ia oddalić te śmiechu godne trwogi, umiem ia ſekret, wyprowadzenia duſze boiaźliwe z ſkrupułow . . . To prawda, że nam Nieba pewnych zakazały uciech, ale można iednak zażywanie onych, z ich pogodzić zakazem. . . Według potrzeby możemy ſumienie naſze uſpakaiać, złość uczynku naſzego naprawuiąc czyſtością intencyi naſzey. . . Podług tego ſekretu, ktorego iey potym wſzyſtkich nauczę prawideł, możeſz ſię W. Pani Dobr: zawſze rządzić, y wſzyſtko co ſię podoba uczynić, ieſt to prożny ſtrach, ktory nam wlewa uprzedzenie. . . Ukontentuy więc Pani łaſkawie niecierpliwe żądzę moie, y nieobawiay ſię niczego. . . Ja odpowiem za to . . proſzę zwal to złe na mnie, ktorego ſię prożnie obawiaſz.

PODSĘD. [*kaſzle mocno*]

OBŁUD.

Ale co to W. Pani Dobr: tak bardzo kaſzleſz?

PODSĘD.

Bo wielką mam duſzność na pierſiach.

OBŁUD.

Na pierſiach? niech ia uleczę tę duſzność! [*dobywa papier długi z Cukierkami*]

Skoſztuy W. Pani Dob r: tych Cukierkow, upewniam, że prędką przynioſą ulgę.

PODSĘD.

To ieſt katar zapewne . . a zatym ſłodycz bardziey by mi ieſzcze zaſzkodziła.

OBŁUDNICKI.

To nie dobrze, bardzo żałuię W. Panią Dobrodzikę, bo to bardzo przykra choroba.

PODSĘD.

Oh! bardziey niż wymowić można.

OBŁUD.

Więc tedy ſkrupuły W. Pani Dobr: uſtać powinny, zwłaſzcza gdy pewną bydź możeſz, że to w głębokim zoſtanie ſekrecie, a złe nie ieſt złym, tylko gdy ſię przed Swiatem odkryie, zgorſzenie innych, wyſtępek czyni wyſtępkiem, a to nie ieſt grzeſzyć, kiedy ſię cichaczem y potaiemnie grzeſzy.

PODSĘD. [*kaſzle mocno, y kobierzec na Stole pociąga*]

Trzeba widzę iuż ſię poddać y na wſzyſtko zezwolić. , . Gdyż W. Pana inaczey ukontentować nie mogę, ani uporu tego przełamać, ktory mnie do oſtatnich przymuſza krokow. . . . Muſzę przekonać otym, czemu wierzyć nie chcą, y dać dowod iſtotny tey prawdy, o ktorey do tych czas wątpiono. . . . Jeżeli zaś ta powolność ma w ſobie co złego, to nie mnie przypiſać potrzeba, ale temu, ktory to na mnie wymuſza.

OBŁUD. [*całuie iey rękę z żywością*]
Tak Mościa Dobr. . . Ja to biorę na ſiebie, y bądź pewna, że w tym nic takowego. . .

PODSĘD.
Ach! zobacz W. Pan wprzód, ieżeli moy mąż nie chodzi po Galeryi. . .

OBŁUD.
Coż to nam ſzkodzi, choć by y tam był. . . Jeſt to Człowiek miedzy nami mówiąc, ktorego podług woli za nos wodzić można, iam go iuż do tego punktu przywiodł, żeby nic złego o mnie nieuwierzył, choćby y ſam widział. . .

PODSĘD.
Bądź iak chce . . wyidź W. Pan iednak y opatrz pilnie, czyli kogo za drzwiami, albo na Galeryi nie maſz.

SCENA VI.

FANATYCKI, PODSĘDKOWA.

FANAT. [*wyłazi z pod ſtołu*]
PAtrzayże. . . Jakiż to człowiek bezbożny! . . . byłbym dał życie ſwoie, że to Anioł, a on widzę gorſzy od diabła.

PODSĘD.
Co zaś? iuż to tak prętko wyłaziſz? o móy kochany ſchoway ſię nazad, ieſzcze to nie czas, zaczekay aż więcey zobaczyſz, y niedowierzay mylnym pozorom.

FANAT.

Nie, iuż nic gorſzego, z piekła ſamego bydź nie może.

PODSĘD.

O! niepowinieneś W. Pan ieſzcze na tym przeſtawać, trzeba bydź iſtotnie przekonanym, nim ſądzić o rzeczach. . . . Nuże ſkryi ſię W. Pan za mnie y niepokazuy ſię, aż zupełnie przeświadczonym będzieſz [*kryie go za ſiebie*]

SCENA VII.

FANATYCKI, PODSĘDKOWA, OBŁUDNICKI.

OBŁUD. [*bieżąc z radością*]

WSzyſtko uſzczęśliwieniu memu ſprzyia Mościa Dobrodziko, wſzyſtkie obiegłem pokoie, nie maſz tam żywego ducha, a ſerce moie żywem goreiąc upałem, dłużey . . [*chce wpuł brać Podsędkową, ktora ſię umyka, a Fanatycki za obie łapie go ręce, y śmieſzną z niego robi Figurę*]

FANAT.

Hola, hola, moia duſzo pobożna, powoli, powoli, moy Aniołeczku Swięty! diabelnie widzę obceſſową maſz miłość . . o ho! otoż ow Swiętoſzek, iak go to biała płeć ſkuſiła. . . A wſzak to waść miał z moią Corką ſię żenić, a chciałeś ſię z żoną moią kochać; długom temu nie wie-

rzył, ale iuż teraz otworzyły mi ſię oczy, y widziałem iaki waść ptaſzek.

PODSĘD.

To com uczyniła, ieſt przeciwko chęci moiey, ale muſiałam tym ſpoſobem poſtąpić z W. Panem, chcąc Męża mego z błędu wyprowadzić.

OBŁUD.

Jak to? y W. Pan wierzyſz. . .

FANAT.

Jeſzcze waść gadaſz? precz mi ztąd zaraz. . . .

OBŁUD.

Moie przedſiewzięcie. . . .

FANAT.

Hoy tak! widziałem ia dobrze waścine przedſięwzięcie, wiem ia, wiem na co ſię to zanoſiło. . . Won ztąd, zaraz mi ſię wynieś z domu mego potwarco niepoczciwy!

OBŁUD. [*kładzie kapeluſz zuchwałą miną*]

W Panu ſię ztąd wynieść należy . . W. Panu. . . Jam ieſt Panem Domu tego, y w tym momencie dam ci to poznać . . Prożnie podłego używacie podſtępu, na ukrzywdzenie moie. Potrafię ia ſię tey zemścić potwarzy, y mam czym oſkarżać zdraycow podſtępnych . . . . . Uymę ia ſię o krzywdę Niebu na mey oſobie wyrządzoną, y pognębie tych, ktorzy mi ſię tak zuchwale wynoſić ztąd każą. [*odchodzi*]

M ij



SCENA VIII.

PODSĘDKOWA, FANATYCKI.

PODSĘDKOWA.

COż ta mowa iego ma znaczyć?

FANAT.

Ach! dla Boga! wszystek truchleię.

PODSĘD.

Coż to iest?

FANAT.

Poznaię w tym błąd, y zaślepienie moie. . . Ach ta Donacya nieszczęśliwa otwiera mi oczy.

PODSĘD.

Jaka donacya?

FANAT.

Ach iuż się stało, ale mnie insza rzecz bardziey ieszcze zatrważa.

PODSĘD.

Coż to takiego?

FANAT.

Wszystkiego się dowiesz, ale teraz czym prędzey zobaczyć muszę, ieżli w iego Gabinecie, pewna ieszcze iest Szkatułka.

PODSĘD.

Widzisz móy mężu, niechciałeś wierzyć, gdy

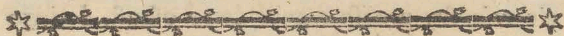
cię wſzyſcy przeſtrzegali, że to oſzuſt, że iego pokora y pobożność zmyślona.

FANAT.

Niech go piorun trzaśnie z iego pokorą, y pobożnością, Hoy! poznałem ſię teraz na liżyduſzkach, co ſię tulą, oczy ſpuſzczaią, długo modlą, a w ſercu Diabła rogatego noſzą.

KONIEC
AKTU CZWARTEGO.





AKT V.

SCENA I.

FANATYCKI, PODSTOLI.

FANATYCKI.

ACH! moy Braciſzku zginołem ze wſzyſtkim.

PODSTOLI.

Nierozpaczay W. Pan tak bardzo, może ieſzcze znaydziemy ſpoſob zapobieżenia nieſzczęściu temu.

FANAT.

Dla Boga przepadłem, ta ſzkatułka mnie naybardziey trapi.

PODST.

Czyliż to w niey tak ważne ſię zawierały rzeczy, że iey zguba tak ſtraſznie W. Pana ſtrwożyła?

FANAT.

Jeſt to Depozyt dobrego Przyiaciela mego Imć Pana Woiownickiego, ktory pod czas oſtatniego ſpiſku uciekaiąc za granice, mnie ią powierzył, zakląwſzy mnie na wſzyſtkie zadawnioney przyiaźni Naſzey obowiązki, abym mu ią wiernie ſchował, gdyż ſię w niey bardzo ważne

Stanu znayduią Taiemnice, od ktorych Fortuna y życie iego zawisło.

PODSTOLI.

A na coż ią W. Pan w cudze oddałeś ręce?

FANATYCKI

Slepe w Obłudnickim zaufanie do tego mnie przywiodło szaleństwa; zwierzywszy mu się bowiem tego sekretu, namowił mnie ten oszust, abym mu tę szkatułkę oddał do schowania, y wziął do tego za Powod, ucalenie sumnienia mego; żebym beśpiecznie mogł przysiąc, że jey nie mam, gdybym do tego był pociągniony, ieżeliby się ta Taiemnica odkryć miała.

PODST.

Przyznać muszę, że się W. Pan sam dobrowolnie w tę wtrąciłeś przepaść, zwierzenie się tego Sekretu, y zapisanie całey fortuny swoiey temu nikczemnemu człowiekowi, są to dowody ostatniey nieostropności W. Pana, wierz mi moy Bracisżku, że ten hołysz, nad spodziewanie szkodzić ci może, maiąc za sobą tak mocne zakłady: zaczym radzę W. Panu żebyś się raczey starał łagodnością go uiąć.

FANAT.

Moy ty Boże! ktożby się spodziewał, żeby pod tak Anielską postawą, serce diabelskie bydź miało. . . Jam go z ostatniey wyciągnął nędzy , . Jam mu dał wszystko, a on mnie tak zdradził . . hey . . poczekaycie nabożnisie, wyrzekam się was na zawsze, przysięgam że dla was gorszym od wszystkich diabłow będę.

PODST.

W. Pan widzę z iednego zbytku w drugi przechodzisz; że W. Pana ieden zdrayca oszukał, czyliż się godzi rozumieć, że tacy są wszyscy? on był Hipokryta . . Potwarca . . Lecz niemożna sobie ztąd wnieść, że iuż dziś żadnego prawdziwie pobożnego niemasz człowieka. . . Zostaw W. Pan Libertynom to zdanie, ktorzy cnotę rownie ważą iako y obłudę. Nie kładź W. Pan wszystkich na iedną szalę, y niesądź o sercach przez powierzchowne grymasy, ale przez istotne czynności, Obłudnikow nie miey za cnotliwych, ale też nie czyń krzywdy prawdziwie cnotliwym.

SCENA II.

FANATYCKI, PODSTOLI. WINCENTY, TREFNICKI.

WINCENTY. [*wpada pomieszany*]

COZ to ia słyszałem Mości Dobrodzieiu? . . Jestże to prawda, że ten oszust, ten mizerak, ktoregoś z okropney wyciągnął nędzy śmiał przegrażać się na W. Pana Dobrodzieia? że za świadczone Jemu Dobrodzieystwa tak czarną płaci niewdzięcznością?

FANATYCKI.

Prawda moie Dziecie, prawda, chcę mię zgubić ten Filut niepoczciwy.

WIN-

WINCENTY.

Ach! co za łotr! kiedy on naprzeciwko W, Panu Dobrodzieiowi powstaie, y same nawet Dobrodzieystwa bierze za narzędzie, na uknowanie zguby Dobrodzieia swego.

FANAT.

Tak moy Synu . . y to mnie naybardziey dolega . . ach!

TREFNICKI.

Widzisz W. Pan Dobrodziey iaką masz wdzięczność, a mnieś W. Pan Dobr. za tego obiesia, boki tak omłócił.

WINCENTY.

Dopuść mi W. Pan Dobrodziey . . na miazgę go zbiię . . iego śmiałość iak naysurowiey ukaraną bydź powinna. . . Do mnie Syna należy zemścić się krzywdy Oycu wyrządzoney . . poydę y trupem go położę.

TREFNICKI.

Ja też swoią serpętynę naostrzę, y za moie guzy, od ucha do ucha pysk mu przetnę.

PODST.

Hola! stoycie . . y pohamuycie te zapędy płoche . . . to przedsiewzięcie, nierostropney młodości tylko iest przyzwoite? żyiemy bowiem pod Monarchą sprawiedliwym, ktory gwałtow cierpieć nie może, y wszystkim poddanym swoim bezwzględną sprawiedliwość wymierzać każe, innych tedy nam śrzodkow, w tey mierze użyć potrzeba.

SCENA III.

POBOZNICKA, KUNEGUNDA PODSĘDKOWA, ZOSIA, FANATYCKI, PODSTOLI, WINCENTY, TREFNICKI

POBOZNICKA.

COZ to moy Synu? iakichże ſię ſtraſznych taiemnic tu dowiaduię.

FANAT.

Są to nowinki, ktorych oczy moie były świadkami, widziſz teraz W. Pani pociechę z ſwego ulubionego Faworyta. Oſzuſt przeklęty . . . iaką mi za dobroć moią płaci niewdzięcznością.

ZOSIA.

Nieboraczek! . . .

FANAT.

Jam go z Chrześciańſkiey litości wydzwignął z nędzy. . . Jam do domu przyiął, y lepiey z nim niż z rodzonym Bratem poſtępowałem, każdego dnia nowych dobrodzieyſtw doznawał ode mnie, . . Tak dalece żem mu nawet Corkę moią offiarował, y z nią wſzyſtkie Dobra moie . . A ten zdrayca . . ta poczwara piekielna chciał ieſzcze żonę moią uwieść. .

ZOSIA.

Nieboraczek! . . .

FANAT.

Y nie dosyć na tym, używa własnych Dobrodzieystw moich na zgubienie moie, grozi mi, z domu mię wypędzić, y do tey mnie przywieść nędzy, z ktorey go wyrwałem. Patrz W. Pani iaka to niewdzięczność! ktożby się tego spodziewał.

ZOSIA.

Nieboraczek! . .

POBOZNICKA.

Co ty gadasz moy Synu? to niepodobna, żeby ten człowiek świątobliwy, tak niegodziwe miał występki.

FANAT.

Jam to samo o nim trzymał, ale teraz poznałem, żem chytrego węża w moim ogrzewał zanadrzu.

POBOZNICKA.

Ale moy Synu, ludzie pobożni często na siebie zawiść zaostrzaią.

FANAT.

Co tam W. Pani Dobrodzika prawisz.

POBOZNICKA.

W Twoim Domu wiele zgorszenia, Pan Obłudicki za Honor Boski się upominał, y to na niego nienawiść ściągnęło.

FANAT.

Ale nienawiść, ... wszakże ia na moie oczy. , .

POBOZNICKA.

Móy Synu częſtom ci to powtarzała, gdyś ieſzcze do ſzkoł chodził, że cnota zawſze prześladowanie cierpi,

FANAT.

Ale coż to ta mowa ma znaczyć.

POBOZNICKA.

Pewnie ci o nim iakie plotki donieśli.

FANAT.

Wſzakżem iuż powiedział W. Pani Dobrodzice, żem na ſwe właſne widział oczy.

POBOZNICKA.

Ey! bo gdybyś wiedział iaka ieſt złość ludzka. . . .

FANAT.

A! iuż mi cierpliwości nieſtaie, powiadam żem był przytomny, y ſłyſzałem na uſzy moie.

TREFNICKI.

Zobaczyſz Zofiu, że ſię Syn z Matką o niego pokłucą.

POBOZNICKA. [*myśląc trochę*]

Języki ludzkie zawſze ſą pełne iadu, y na nayświątobliwſze rzucaią go oſoby.

FANAT,

A coż u diabła. . . .

POBOZNICKA [*biiąc ſię w gębę*]

Ach! dla Boga moy Synu, y ty iuż bieſa wſpomniałeś.

FANAT.

Ja całe piekło wezwę . . gdy mi W. Pani nieuwierzyfz, powtarzam ieszczc raz, żem przy dobrych zmysłach będąc, fzkaradne zamysły tego hultaia widział.

POBOZNICKA.

Pozory nas często zwodzą, y nie trzeba rzeczy tak brać iak ie widziemy.

FANAT.

Ledwie nie fzaleię! . . .

ZOSIA.

Hą, ha, ha, poczciwie mu tak, nięchciał on też nam dać wiary.

POBOZNICKA.

Natura nafza fkłonna do podeyzrzenia, y cnota częftokroć wyftępne ma poftawy.

FANAT.

Tak, tak, to pewnie cnota, że żonę moię chciał. . . .

POBOZNICKA.

Nie trzeba tak porywczo fądzić z omylnych pozorów, y powinieneś był czekać dowodnieyfzych.

ZOSIA.

Ha, ha, ha. To mi fię podoba.

FANAT.

A cóż u diabła, to ia miał czekać, żeby w oczach moich żonę . . W. Pani widzę chcefz . . . żebym tu głupftwo iakie powiedział

TREFNICKI.

Ha, ha, ha, alboż to co osobliwego . . Nie ieden i to Mąż niezmrużonym okiem na to patrzy.

POBOZNICKA.

Ale czy mogęż temu wierzyć, że się na to chciał odważyć, musiałeś zle widzieć moy Synu!

ZOSIA.

Prawda Mościa Dobrodziko, bo też Mężowie często rzeczy wspak biorą.

FANAT.

Do takiey mnie W. Pani przywiodła niecierpliwości, że się boię żebym iey nieubliżył uszanowania.

TREFNIC.

Widzisz W. Pan Dobrodziey iak to rzeczy idą na świecie, mnieś kiiem opral za prawdę, a teraz się gniewasz, że tey samey prawdzie uwierzyć niechcą.

PODST.

Moy Braciszku! my na próżnych sprzeczkach czas traciemy ktoregoby nam na zwrocenie podstępnych zamiarow Obłudnickiego zażyć potrzeba.

WINCENTY.

Hoy! zapewne Mości Dobrodzieiu, on gotow nayniegodziwszych użyć krokow na zgubę naszą.

PODSĘD.

Ja to ſamo o nim ſądzę, wſzyſtkiego złego po nim ſpodziewać ſię potrzeba.

PODST.

Bez wątpienia, do takich ſię na W. Pana uda ſrzodków, ktore czarne zamyſły iego uſkutecznić mogą. Ktoż wie ieſzcze co ſię w tey przeklętey znayduie Szkatułce, a podobno potwarz Jego rzeczy bardziey oczerni.

FANATYCKI.

Wſzyſtko to bydź może, przebóg zginąłem! . .

PODSTOLI.

Daleko beſpiecznieyby było, gdyby go zgodnym ſpoſobem uiąć można.

PODSĘD.

Ey! gdybym ci była wiedziała, że taką ma broń w ręku ſwoich, nigdybym nie dała była przyczyny do tylu troſkliwości y zamięſzania.

FANAT.

Ktożby ſię był ſpodział. . . Czegoż to chcą ci ludzie? właśnie ia też teraz ſpoſobny ieſtem do przyięcia kogo.



SCENA IV.

BURGRABIA, dwoch Szlachty, WOZNY, POBOZNICKA, FANATYCKI, WINCENTY, KUNEGUNDA, ZOSIA, PODSĘDKOWA, PODSTOLI, TREFNICKI.

BURGRABIA [*do Zofi*]

KŁaniam moia Panno, trzeba mi fię zobaczyć z Imć Panem Fanatyckim, pilny mam do niego interes.

ZOSIA.

On teraz ma gości, wątpię żeby fię z W. Panem mogł widzieć.

BURGRABIA.

Powiedz mu mu moia Panienko że y ia gość, y żem tu w ważnym przyfzedł intereſie, z ktorego kontent będzie.

ZOSIA,

Ktoż W. Pan ieſteś?

BURGRABIA.

Powiedz tylko, żem tu przyflany od Pana Obłudnickiego.

ZO-

ŻOSIA. [*do Fanatyckiego*]

Przyſzedł tu iakiś Imć od Obłudnickiego, w pewnym intereſie z ktorego w Pan Dobr:, iako powiada, kontent będzieſz.

PODSTOLI.

Czegoż on chce? trzebaby ſię z nim rozmówić.

FANAT.

Może ſię ze mną chce zgodzić. Jakże ſobie z nim mam poſtąpić?

PODST.

Radzę W. Panu, żebyś wſzelką pokazywał powolność, gdyby W. Panu z ſtrony Obłudnickiego zgodę miał proponować.

BURGRABIA.

Dawno ſobie życzyłem mieć te ſzczęście poznania ſię z W, Panem Dobrodzieiem.

FANAT.

Poznaię po grzeczności Jego, że mnie z Obłudnickim będzie chciał zgodzić.

BURGRABIA.

Z nieboſzczykiem Oycem W. Pana Dobrodzieia, gdy ieſzcze w Paleſtrze zoſtawał, ſciſłą miałem przyiazń; był to Kawaler *de jure y hayda*, potrafił y wybić y wypić. Pamiętam iakeśmy w Czerſku żydom brody wyrywali, y ſzynkarkom okna wycinali, gdy nam miodu na kredyt dawać niechciały.

FANAT.

Jakże mam honor zwać W. Pana, ktoż ieſteś?

BURGRABIA.

Jeſtem Tradnicki do uſług W. Pana Dobr: z Woiewodztwa Mazowieckiego, y od trzydzieſtu lat Urząd Burgrabiego Grodzkiego ſprawuię z Honorem. Przyſzedłem tu brać intromiſſyą do Pałacu W. Pana Dobrodzieia.

FANAT. [*z żywością.*]

Co Intromiſſyą?

BURGRA.

Tak ieſt. Imć Pan Obłudnicki mocą zapiſow Grodownie ſobie uczynionych, przyſłał mnie tu, abym W. Panu Dobrodzieiowi wypowiedział mieſzkanie w tym Pałacu. Zoſtawuię tu tych dwoch Szlachty, żeby w nim Poſſeſſyą wyſiedzieli.

FANAT.

Co? ia ſię z właſnego Domu mego mam wyprowadzić?

BURGRABIA.

Nieinaczey. Y ieżeli W. Pan w tym iaką trudność będzieſz czynił, przyidę tu *cum brachio Militari*, ktore W. Panu pomoże ztąd ſię wynieść.

WINCENTY.

Proſzę miarkować ſwe wyrazy Moſpanie, y wiedz o tym, że Waść wraz z ſwoim *Brachio* po ſkorze wziąść możeſz.

BURGRABIA.

Moſpanie Młody! ia do W. Pana intereſſu nie mam, powinność tu mego Urzędu ſprawuię, y ſpodziewam ſię że ſię, nikt Intromiſſyi moiey opierać nie będzie ważył.

TREF.

Ey ſtrzeż ſię Mospanie Burgrabio, żeby do W. Pana grzbietu Intromiſſyi nie wzięto.

BURGRABIA.

A! zobaczę, będzie *Causa facti* będą dwa zakłady Starościńſkie, nie złaby to była obrywka. [*do Szlachty*] ieſt tam Woźny [*woźny wchodzi*]

TREF.

To tu widzę nie przeliwki Mości Dobrodzieiu. To Jur iakiś zuchwały, nie łatwo go ſię pozbędziemy; ale probuy W. Pan Złotem, może będzie grzecznieyſzym, bo ci IchMość nadzwyczayną do tego Metalu maią Sympatyą, gdy go zobaczą, ſerce ich iak maſło topnieie; nawet częſtokroć przeciwney ſtronie, gdy złota nie żałuię, papiery wydaią y umyślnie wexle gubią.

WINCENTY.

Ja zaś W. Panu Dobrodziejowi nie radzę, żebyś mu dał pieniędzy, bo choć ſię ten da przekupić, to inſzy przyidzie, łepiey zrobmy *Cauſam facti*, a zie diabła niż ią za dzieſięć lat zkończy; tym czaſem znaydziemy ſpoſob znieſienia Ceſſyi Obłudnickiemu uczynioney.

FANAT.

Moy Synu! ta rada wcale ieſt, nieroſtropną, żadne teraz nieuchodzą gwałty, dawniey to mocnieyſzy ſłabſzego bezkarnie mógł ukrzywdzić, ale te czaſy minęły, Sędziowie nieſpawiedliwi y przekupni znayduią wędzidło w Nayżyżſzey Magiſtraturze, roſtropnie uſtanowio-

ney. Nie wolno Im teraz Praw podług interessu naciągać, myślę się tam udać, opiszę w Memoryale czarność postępku Obłudnickiego, y pewny iestem, że ta Cessya uchylona będzie.

PODSTOLI.

To przedsięwzięcie arcy iest rostropne.

WINCEN,

Kto wie, kiedy W. Pan Dobrodziey dostaniesz rezolucyą, a tym czasem nas z Domu wypędzą.

TREF.

Tylko mi W. Pan Dobrodziey nieprzeszkadzay, to ia Pana Burgrabiego, y tę Hołotę, wnet ztąd wyforuię.

FANAT.

Zebyś mi się nie ważył żadnych używać gwałtów.

TREF.

Gdzie zaś! szabli nawet nie dobędę, tylko tak suchemi razami, naprzykład kułakiem w bok.

BURGRABIA [*stoiąc na progu*]

Hey Woźny!

WINCEN.

Jakże y pozwolisz W. Pan Dobr: żeby wziął Possessyą; co to dla nas za wstyd będzie!

TREF.

Hoy co to, to prawda, cała Warszawa na ten krzyk się zbieży, będą ludzie rozumieć że

za wexle Pałac traduią. *Woźny woła.* Mości Panowie raczcie o tym wiedzieć, że Urząd Grodzki mocą z zapiſow. . .

WINCEN. [*bieży y wypycha Woźnego*]
Niezniosę tey hańby na ſobie.

TREF. [*pomaga mu*]
Won ztąd Panie Bracie Szlachcic ieden y drugi, ſzukaycie ſobie gdzie indziey kwatery, nuże, wynoście ſię, żebyście ſtrawnego po bokach niedoſtali.

BURGRABIA.
A to co? *Proteſtor, proteſtor* Mościpanowie, zanioſę zaraz Manifeſt *de violentia & oppoſitione.*

TREF.
Nie rób tu Waść hałaſow, bo ſię ieſzcze de *guzis* proteſtować będzieſz.

BURGRABIA.
Co, co, Waść gadaſz? . . Co to za zuchwałość, a nie wieſz to Waść że ia ſtary Officyaliſta.

WINCEN.
Proſzę ſię ztąd wynieść moy ſtary Officyaliſto pokiś cały.

BURGRABIA.
Poydę, poydę, ale wiem w iakich Terminach Manifeſt uczynię. [*do Szlachty*] Mospanowie Bracia niewychodzcie ztąd, chyba że was gwałtem wypchną, a przez to nieochybnie na kontuſz zarobicie.

TREFN.

Mylisz się Mospanie, bo nie na kontusz, ale po kontuszu wezmą [*wypyha ich gwałtem*] Hayda! won ztąd Panowie Hołysze! nużę! prędzey! [*Szlachta wychodzi*]

SCENA V.

FANATYCKI, PODSTOLI, PODSĘDKOWA, KUNEGUNDA, POBOZNICKA, ZOSIA, WINCENTY.

FANATYCKI.

PRawdziwie ten gwałt wcale mi się nie podobał, y boię się żeby złych niemiał skutkow.

WINCEN.

Prozna iest boiazń W. Pana Dobrodzieia, wszak to Pan Starosta Szałaputzki, gdy mu tradowano Dobra, Woźnemu dał sto Kijow, a Burgrabiemu pysk wyciął, a cały interes na dwoie czternastu grzywien się zakończył.

PODST.

Dosyć zle, że Prawa w takiey są pogardzie, iest to przywara w Rządzie, ktora zapewne za staraniem mądrego Prawodawcy poprawioną będzie.

FANAT.

A coż Mościa Dobrodziko, czy niewierzyſz, ieſzcze, że Obłudnicki Zdrayca, y że pobożność iego potwarzą była.

POBOŻNICKA.

Dla Boga! zadziwienie moie ieſt niepoięte, iakże on razem y nabożnym y tak złym bydź może? wſżak to on codzień godzinki ze mną ſpiewał.

ZOSIA.

On też to ſpobożności y z miłości bliźniego uczynił, bo on ſądzi, że Dobra y Bogactwa zbawieniu zaſzkodzić mogą, więc ie odbiera W. Panu, żebyś nie miał ſpoſobu obrażenia Boga.

FANATYCKI

Otbyś lepiey milczała, zawſze niewczeſne maſz uwagi.

PODSĘD.

Coż teraz poczniemy moy Mężu?

FANAT.

Nietroſzcz ſię moia żonko, udam ſię iakem iuż powiedział, do naywyżſzey Magiſtratury, ktora niewinność moią, a niegodziwy poſtępek Obłudnickiego, uzna zapewne.



SCENA VI.

SKARBNIKIEWICZ, FANATYCKI, PODSTOLI, PODSĘDKOWA, KUNEGUNDA, ZOSIA, WINCENTY, POBOZNICKA.

SKARBNIKIEWICZ [*pomieſzany*]

POniewolnie przychodzę zaſmucić W. Pana Dobrodzieia, czynię to z powodu przywiązania, ktore mam ku niemu. Przyiaciel moy pewny wiedząc, iak mnie bardzo Dom W. Pana Dobr: intereſuie, dał mi znać w tym momencie, że w wielkim zoſtaieſz niebeſpieczeńſtwie. Obłudnicki był u Dworu, y oddał Krolowi pewną ſzkatułkę, w ktorey bardzo ważne taiemnice znaydować ſię maią, y oraz oſkarżył przed Krolem żeś był ſpołecznikiem wielkich Stanu wyſtępkow, wyſzedł tedy rozkaz do Policei, żeby W. Pana natychmiaſt areſztowano. Nawet ten zdrayca ma tu przyiść z Inſtygatorem y żołnierzami, dla wykonania rozkazu tego.

PODST.

Patrz W. Pan iakich ten Zbrodzien używa podſtępow y potwarzy, dla przywłaſzczenia ſobie Fortuny W. Pana.

FANAT.

Co to za ſpoczwara piekielna.

SKAR-

SKARBNIKIEWICZ.

Nietrać W. Pan Dobrodziey czaſu na próżnych wyrzekaniach, trzeba tu o ucieczce pomyśleć. Kareta moia ieſt tu za Pałacem, mam z ſobą tyſiąc czerwonych Złott; w gotowiznie, ſchroń ſię W.Pan czym prędzey przed tą burzą, offiaruię ſię bydź Towarzyſzem nieſzczęścia Jego.

FANAT.

Wſpaniały Młodzieńcze! czymże ci tę czułą odwdzięczę przyiaźń. Day Boże, żebym kiedykolwiek był w ſtanie wypłacenia ſię Tobie, y nim ten czas przyidzie, wam to zlecam ſtaranie.

PODSTOLI.

Jedź z Bogiem Braciſzku, będziem my o tym pamiętać. . .

FANAT.

Zegnam was tedy kochana żonko, y dzieci. .



SCENA OSTATNIA.

OBŁUDNICKI, INSTYGATOR z Zołnierzami, FANATYCKI, PODSĘDKOWA, KUNEGUNDA, ZOSIA, SRARBNIKIEWICZ, WINCENTY, TREFNICKI.

OBŁUDNICKI.

HOLA! hola! powoli, nie ſpieſz ſię tak W. Pan, wynalazłem dla W. Pana inſze zchronienie, areſztuiemy W. Pana za rozkazem Królewſkim.

FANAT.

Zdrayco! czy także mi płaciſz za moie Dobrodzieyſtwa! . . . tym że to ſzkaradnym poſtępkiem złoczyńco! . . chceſz ſwoią koronować obłudę?

OBŁUD.

Te ſłowa zelżywe obrazić mnie nie potrafią, nauczyłem ſię dla Boga wſzyſtko cierpieć.

PODSĘDKOWA.

Bezecny Człowieku . . pewnie y tę zdradę czyniż z tego powodu?

WINCEN.

Niepoczciwy! iakże ſię śmieſz tak bratać z Bogiem?

OBŁUD.

Wſzyſtkie te obelgi nie wzruſzą mnie bynaymniey, myślę tylko, abym powinności moiey zadość uczynił.

PODSĘD.

A to piękna powinność . . tak ſzkaradnym poſtępkiem ſwym płacić Dobrodziejom.

OBŁUD.

Moie kroki nie mogą bydź tylko chwalebne, gdyż ie za naywyżſzym czynię rozkazem.

FANAT.

Jakże nie pamiętaſz niewdzięczniku . . żem cię z oſtatniey wyciągnął nędzy?

OBŁUD.

Tak ieſt . . wiem żem od W. Pana wiele odebrał wſparcia, ale interes Boſki, y Krolewſki tak świętą ieſt dla mnie powinnością, żem dla tego przyiacioł, żonę, Rodzicow, y ſiebie ſamego gotow offiarować.

PODSĘD.

Potwarco niepoczciwy!

TREF.

Jakże on śmie z intereſſem Boſkim zawſze wyieżdżać, muſi on bydź plenipotentem Niebieſkim.

FANAT.

Podobni potwarcy naywiękſze zbrodnie płaſzczykiem cnoty pokrywać umieią.

PODSTOLI.

Ale czemużeś prędzey nie pokazał tey gor-

liwości? pocożeś czekał aż cię na bezecnym zdybano postępku? na cożeś moy Swiętoszku przyimował zapisy od Brata mego, kiedy go występnym sądziłeś? . . dopiero go zdradzasz, gdy cię zdomu za umizgi do swoiey żony wypędził.

OBŁUD.

Mości Panie Instygator chciey mnie od tych hałasow uwolnić, y rozkaz sobie dany wypełnić.

INSTYGATOR.

Dobrze żeś mi W. Pan o tym przypomniał; wykonywaiąc więc moią powinność zapraszam W. Pana z sobą do Prochowni, ktora mu za mieszkanie iest naznaczona.

OBŁUD.

Co mnie Mości Panie Instygator?

INSTYGATOR.

A kogosz? W. Pana samego

OBŁUD.

A mnie za co do Prochowni?

INSTYGATOR.

Nie mam przyczyny z tego się sprawować W. Panu. . . Zyiemy pod Monarchą nieprzyiacielem zdrady, ktorego potwarcy zwieść niepotrafią. Ten Imć przychodząc oskarżać W. Pana zdradził siebie samego, bo Krol z niektorych okoliczności odkrył w nim zdraycę, ktory pod innym Imieniem ieden z naypierwszych hersztow *pewnego był spisku* a barziey przerażony czarną iego niewdzięcznością, niż występkiem obrażonego Majestatu, ktory wszystkim uczesnikom Jego łaskawie darował, zale-

cił Policei żeby na ukaranie do więzienia był wtrącony, będąc iednak ciekawym do iakiego by kresu złość iego poyść mogła, chciał aby mi był przydany niby do aresztowania W. Pana, ale oraz mi zalecono żebym na wszystkie kroki iego pilne miał oko. Król Imć będąc przeświadczony o wierności W. Pana ku sobie, daruie mu to przewinienie, żeś przed nim sekret przyiaciela swego utaił, y przyrzeka mu nawet, że Cessya Obłudnickiemu uczyniona prawnie uchylona zostanie.

FANAT.

A niechże mu Bog za tę dobroczynność zapłaci.

POBOZNICKA.

Teraz dopiero przychodzę do siebie.

PODSĘD.

Jakaż pomyślna odmiana?

WINCEN.

Ktożby się tak szczęśliwego spodziewał przypadku?

INSTYGATOR.

No! a my po mału zabieraymy się w drogę, hey wezcie Imć pod ręce, żeby nieupadł.

TREF:

Niechcesz że W. Pan Dobr: futra, bo tam w kozie diabelnie zimno.

ZOZIA.

Polecam mnie świętym modlitwom W. Pana Dobr: [*piersi chustką zakrywa naśmiewaiąc się z niego*]

FANAT.

A coż teraz zdrayco? . . .

INSTYGATOR [*wychodzi a żołnierze ſzarpią Obłudnickiego*]

PODST.

Nie łay go moy Braciſzku, doſyć iuż ieſt ukarany, mieymy raczey nad nim politowanie, y życzmy mu, aby go ten przypadek na drogę prawdziwey cnoty naprowadził.

FANAT.

Dobrze mowiſz moy Bracie, to zdanie wcale ieſt ludzkie. Będąc tedy pocieſzonym w uciſku moim dzień ten ſzczęśliwy radości poświęcę. Moſpanie Skarbnikiewiczu, dałeś mi wielki dowod przyiaźni ſwoiey, radbym ci ſię wdzięcznym pokazał. Wiem że kochaſz moią Corkę . . y że ona cię barzo polubiła. . . . Nie prawdaſz Kunuſiu? . . widzicie iaki to Rak upiekła, offiaruię ci Ją moy kochany przyiacielu . . a to z znacznym poſagiem.

SKARB.

Pozyſkanie tey śliczney ręki naywiękſzym dla mnie będzie ſkarbem.

FANATYCKI. [*łączy ich*]

Zyicie w miłości y cnocie moie dzieci kochane, a ſtrzeſzcie ſię zmyślonych Swiętoſzkow, bo oni ſą gorſi od poczwar piekielnych.

KONIEC.



